Dr. Kowalski Edward
P o z n a ń ,
Daszyńskiego 100 m. 6

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO
KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 22 styczeń 1950 r. | Nr 3 (217)

TREŚĆ NUMERU: Przegląd prasy — Słowa pisane sercem; Janina Budkowska — Wspomnienie o K. W. Zawodzińskim; Kazimierz Koźniewski — Dlaczego nie ma?; Zygmunt Lichniak — Problem; Aleksander Rogalski — Literatura i moralność; Zygmunt Kubiak — Prawdziwe dzieje świata; Jan Dobraczyński — Strzały za horyzontem; Tydzień kulturalny: Wacław Sadkowski — Zagadnienie estetyki; Czytelnik, uważa że..

Mieczysław Kurzyna

PÓŁWIECZE

Motto:

„Godzina, której żaden człowiek Dwa razy w życiu nie słyszy..."
Słowacki

Przytoczone na wstępie zdanie z „Kordjana" odnieść można do każdej daty i każdej chwili życia ludzkiego. Przeżycia nasze są niepowtarzalne, a świadomość tego faktu jest jedną z pierwszych refleksji, jakie rodzą się w człowieku. Z drugiej jednak strony, pewne daty, mimo zdawania sobie sprawy z ich umowności pozostają specjalnie znaczące, w tym choć by sensie, że zachęcają do spojrzenia wstecz i tworzenia wyobrażeń o przyszłości. Należy do nich na pewno nie tylko każdy rok setny, ale także i pięćdziesiąty. Rok zaś 1950 należy może specjalnie.

WIEK DWUDZIESTY

Bardzo trudno ująć go w jakąś krótką syntezę. I to nie tylko dlatego, że jeszcze trwa. Myślę, że ludzie poprzedniego stulecia wcześniej mieli świadomość jakie właściwie procesy przeżywają, a mówiąc o epoce „pary i elektryczności" trafnie charakteryzowali swoje czasy. To, co do tego terminu, zrodzonego właśnie w XIX stuleciu dodały badania późniejsze, było ostatecznie tylko innym naświetleniem tych samych problemów. Zarówno obudzenie procesów społecznych, jak imperializm kolonialny, jak racjonalizm i scep tycyzm, jak humanitaryzm, moralność mieszczańska, postęp nauk przyrodniczych, odkrycia geograficzne, czy nawet pesymizm filozoficzny i secesyjne budownictwo były integralnie związane z rewolucyjnym faktem zastąpienia siły mięśni przez pracę maszyny. Nie należy tego fałszywie rozumieć. Nie tłumaczymy wszystkich przejawów twórczości ludzkiej sposobami produkcji. Jest to uproszczenie, które co gorsza znacznie mniej wyjaśnia niżby się zdawało. Nie ulega natomiast wątpliwości, że wielkie osiągnięcie ducha ludzkiego, jakim było spożytkowanie energii przyrody do pracy człowieka stało się cechą charakterystyczną rozwoju cywilizacji w poprzednim stuleciu.

Wiek XX scharakteryzować jest znacznie trudniej. Być może nasze czasy nie mają w ogóle tak wyraźnej dominanty, jak epoka poprzednia, a przynajmniej nie jest nią żaden fakt z zakresu sposobów produkcji. Jeśli by mówić o postępie technicznym, to chyba największą nowością stanowi niebywałe zwiększenie szybkości kontaktu między ludźmi. Nie wydaje się jednak, aby to wyłącznie decydowało o dzisiejszej cywilizacji. Termin „epoka atomowa" stosowany od jakiegoś czasu na zachodzie tłumaczy jeszcze mniej. Wydaje się, że dla kultury nie jest decydujące czym pruszamy silnik i czy spalamy wiele ton węgla, czy też pożytkujemy energię ułamka materii. Ważny jest sam fakt, że rozporządzamy czymś znacznie więcej niż siłą własnych palców, a ta rewolucja zaszła już przed wiekiem.

Tak więc, rezygnując z wyznaczenia oblicza naszych czasów osiągnięciami technicznymi wypada poszukać rozwiązania w innych dziedzinach, w dziedzinach form życia zbiorowego. I tu uderzają nas natychmiast fakty: wielkie wojny oraz rewolucja, która przemieniła oblicze jednej szóstej globu. Nie można na tym miejscu dać jakiejś dokładniejszej interpretacji zjawisk tego kalibru. Ale trzeba zaznaczyć, że rozwiązań poszukać by chyba należało gdzieś na tym właśnie terenie. Stale rosnący konflikt kapitalizmu z obozem socjalizmu, strukturalny kryzys tego pierwszego, lęk całej ludzkości przed wojną, rozrost supremacji machiny państwowej i tendencje wolnościowe ludów kolorowych, to chyba będzie kiedyś oceniane jako główne motywy wieku XX.

„Cóżby przyszło człowiekowi..." Jeśli Huxley w „Nowym, wspaniałym świecie", tej genialnej satyrze na współczesność mówił o standaryzacji i stabilizacji hasłach epoki, to bez względu na pewne pomieszanie pojęć w tym zestawieniu, trafnie uchwycił fakt, że naczelnym zadaniem naszych czasów staje się znalezienie właściwych form współżycia między ludźmi.

Analizując rzecz dalej, wypada powtórzyć to, co z tych łamów wielokrotnie było mówione, że w życiu gospodarczym ewolucja dąży do upowszechnienia środków produkcji i do planowania, a więc do socjalizmu. Powstaje jednak pytanie, czy da to zarazem lepszego człowieka, a tym samym czy istotnie współżycie między ludźmi będzie lepsze. I tu trzeba powiedzieć szczerze. Będzie to jak zwykle, zależało nie tylko od tego ile ludzkość wyprodukuje i w jaki to uczyni sposób, ale także od tego jaki z dóbr materialnych zrobi użytek, a to już jest zagadnieniem nie gospodarczym, ale moralnym, zdeterminowanym w kategoriach pragnień i celach indywidualnych.

Wyjaśniając to, co powiedziałem przed chwilą, zaznaczyć należy, że naszym zdaniem dla moralności stosunków społecznych a tym samym dla warunków szczęścia człowieka równie jest ważna „etyka produkcji", jak „etyka spożycia". Mówiąc inaczej, można zrobić użytek niewłaściwy nawet z dóbr wyprodukowanych w najwłaściwszy sposób, a najbardziej humanistyczny ustrój może zostać rozbity przez żądzę władzy, samowolę, egoizm, czy pychę jednostki.

Dlatego, choć uznajemy konieczność rozwiązywania spraw społecznych na drodze przebudowy ustroju, a nie jedynie przez tzw. „poprawę człowieka" z drugiej strony podkreślamy jak najmocniej: determinantą stosunków społecznych jest wartość jednostki.

Ileż więc aktualnego i doczesnego sensu, po prostu użyteczności praktycznej posiada ewangeliczne przypomnienie: „Cóż by przyszło człowiekowi choćby cały świat posiadł, jeżeli na duszy swojej poniesie stratę". Z tego też praktycznego względu nie tylko na gruncie wskazań religijnych, naczelnym pytaniem wśród rozważań o przyszłości staje się kwestia, czy ludzkość zbliża się do Boga i czy istnieje postęp w tej właśnie dziedzinie.

ŚLADAMI ROBINSONA

W tej nieśmiertelnej książce, którą Bolesław Miciński gotów jest traktować jako mit eschatalogiczny, istnieje scena, w której samotny rozbitek, przypomniawszy sobie o Opatrzności analizuje dobre i złe strony swego losu. Przedstawiciel narodu kupców ujmuje tę analizę niemal w księgę handlową, obliczając swój debet i credit. Spróbujmy pójść jego śladem, zróbmy prowizoryczne zestawienie cech charakterystycznych w najistotniejszych przeżyciach współczesnego człowieka. Naturalnie będzie to bardzo wątpliwe jako diagnoza, ale może przydatne dla zilustrowania myśli artykułu.

Złe

1. Współczesny człowiek jest skłonny do hedonizmu, swój cel upatruje często tylko w doczesności, w dużej zaś części świata ceni jedynie korzyść materialną.

2. Istnieje wyzysk człowieka przez człowieka w kapitaliźmie, a eksploatacja sił ludzkich przybiera często cechy niewolnictwa.

3. Byliśmy świadkami niesłychanego, zwierzęcego okrucieństwa, a brutalność zaczyna przenikać do wielu dziedzin życia między ludźmi.

4. Państwo staje się machiną tylko dla siebie i dławiącą jednostkę coraz mocniej.

Dobre

1. Nasilenie problematyki ideowej wzrosło. Spory światopoglądowe zaczynają pasjonować ludzi z taką siłą, jaka nie istniała od czasów wojen religijnych. Wiele krajów takich jak np. Francja wraca do Boga i prawd wiary.

2. Istnieją siły walczące o wyzwolenie człowieka. Budzą się ludy kolorowe. Obóz socjalizmu zniszczył wyzysk gospodarczy w wielkiej części świata.

3. W dziedzinie moralności jednostkowej znikło zakłamanie. Coraz częściej wymaga się pełnej konsekwencji wobec głoszonych zasad.

4. Idee demokratyczne reprezentowane przez stale rosnący obóz socjalizmu, coraz silniej dają o sobie znać i prą nieustannie i konsekwentnie do ostatecznego zwycięstwa nad światem międzynarodowego kapitalizmu i imperializmu.

Cóż wynika z tego zestawienia? Przede wszystkim to, że jak zwykle nie wolno poddawać się pesymizmowi. Jeśli bowiem zestawienie powyższe jest niekompletne, jeśli tworzy mit jakiś współczesnej ludzkości, jako całości jednorodnej i jeśli nieuwzględnia, ani podziałów socjologicznych, ani nawet terytorialnych co jest jego największą słabością, ma przecież tę zaletę, że wykazuje iż każdej ujemnej ocenie ludzkości, przeciwstawić można dodatnią, że więc nie jest prawdą, jakoby nasze czasy były bardziej „czarne" od epok poprzednich. Z drugiej jednak strony prawo do spokoju sumienia i wyzbycia się smutku o przyszłość świata, mają tylko ci, którzy wezmą na siebie obowiązek jego naprawy. Jak starałem się wykazać w całości tego artykułu, naprawa ta winna objąć i przebudowę socjalno - gospodarczą i przede wszystkim duszę człowieka. Obowiązek jednak pracy i walki o przyszłość spada na każdego.

To zwłaszcza jest istotne, nie wolno zasłaniać się niemożnością, czy niechęcią. Za rzeczywistość naszych czasów i to za rzeczywistość każdej szerokości geograficznej wszyscy ponosimy odpowiedzialność. Nikt od niej nie ucieknie. Egzystencjaliści ze swoim chowaniem się w sferę istnienia i przekonaniem, że to ich uwolni od problemu „istoty rzeczy" są śmieszni. O „istotę rzeczy" świata należy walczyć, wygląd świata należy zmieniać, a szczęście bliźniego jest podstawowym nakazem naszego poglądu na świat. Przeżywając półwiecze i układając przyszłość warto nad własną postawą w nadchodzących czasach zastanowić się specjalnie. I to jest cel tego artykułu.

Mieczysław Kurzyna

STOSUNKI POLSKO — FRANCUSKIE

Rozwój wypadków na odcinku stosunków francusko-polskich musi budzić głęboki niepokój i zgorszenie.

Jest rzeczą oczywistą, że zasadniczo różny jest ustrój społeczny i polityczny Polski Ludowej od ustroju IV Republiki. Różnice te mogły powodować pewne trudności we współpracy politycznej. Ale choć interesy innych warstw społecznych i inne cele są motorem działania rządu budującego socjalizm, a inne rządu zachowawczego, utrzymującego kapitalizm, to jednak — jak wiemy z doświadczenia i wypowiedzi najbardziej miarodajnych mężów stanu — między krajami o różnych ustrojach i rządach możliwe jest pokojowe współżycie, a nawet współpraca. Na pewno, przy wymienionych różnicach, przyzwoite stosunki były i są możliwe między krajami o tak tradycyjnej przyjaźni jak Polska i Francja.

Dlatego fakt powstania incydentów dyplomatycznych wynikających z nadużycia praw gościnności, z używania do celów wrogich placówek, których zadaniem jest pokojowe pośrednictwo, musi budzić zrozumiały sprzeciw. Jakiekolwiek byłyby konflikty różniące władze dwóch narodów, elementarne poszanowanie praw ludzkich nie pozwala przenosić konsekwencji tych konfliktów na szerokie rzesze obywateli korzystających z gościny w obcym kraju. Rząd francuski prowokując incydent polityczny, wyzyskując go do uderzenia w podstawowe prawa polskiego wychodźctwa we Francji, zdradza w naszych oczach najpiękniejsze tradycje narodu francuskiego.

Postępowanie takie dowodzi ponadto, że dzisiejszy rząd we Francji zatracił poczucie misji reprezentowania wysokiego dorobku francuskiej kultury i ulegając presji politycznej imperializmu amerykańskiego dobrowolnie uniemożliwia żywą dotychczas wymianę kulturalną między naszymi narodami.

Żywimy najgłębsze przekonanie, że w postępowaniu tym naród francuski nie solidaryzuje się ze swym rządem i wcześniej czy później przezwycięży te sztuczne i godne potępienia zapory.

Przegląd prasy

SŁOWA PISANE SERCEM

Są sprawy, o których pisanie wymaga szczególnej ostrożności. Jeden niefortunny ruch piórem kosztować może dużo, w konsekwencji dając zupełnie niezamierzony przez piszącego wynik. Przy takich problemach nigdy nie dość jest pamiętać o społecznym znaczeniu słowa pisanego. Było by jednak płytkim oportunizmem uciekać od takich problemów w spokojną ciszę rzeczy nikogo nie drażniących i dla wszystkich „letnich".

Jeśli publicysta, pisarz umiejętnie dosięgnie skalpelem problemu drażliwego, gorącego a nieraz i bolesnego, konieczność przemyślenia postawionego problemu narzuci się czytającemu sama. Gdy bowiem mówimy, że literatura, publicystyka, sztuka, że kultura w ogóle służy rozwojowi wewnętrznemu człowieka — to pamiętamy, że wszystko dostarczane człowiekowi z zewnątrz spełnia tylko rolę pożywki, której trawienie wewnętrzne jest już samodzielnym zadaniem jednostki. Cała więc rzecz w tym, by pożywka nadawała się do trawienia, by rzeczywiście „chwytała", zmuszając odbiorcę do możliwie intensywnej chłonności i wewnętrznej przeróbki dostarczonego materiału.

W wypadku, o którym chcemy dalej mówić ten warunek wydaje się być w zupełności osiągnięty. Artykuł pt. „Żydzi w chrześcijańskim nauczaniu" napisany przez ks. Démanna ze Zgromadzenia Matki Boskiej Syjońskiej publikowany najpierw w czasopiśmie „Lumen vitae" w Brukseli, a następnie tłumaczony na polski przez Zofię Starowieyską - Morstinową we wrocławskim miesięczniku O.O. Redemptorystów „HOMO DEI" — podbija czytającego ujmującą żarliwością i głęboką szczerością wypowiedzi.

Gdybyśmy chcieli klasyfikować artykuł ks. Démanna na zasadach czysto formalnych, abstrahując w tym momencie od jego merytorycznie doniosłego znaczenia, musielibyśmy zaliczyć go do rzędu tych wypowiedzi które czytając odczuwa się wyraźnie, że ma się do czynienia ze słowami pisanymi sercem. Gorącym, żarliwym sercem człowieka przedstawia ks. Démann — sprawę ludzką. Duchowny katolicki mówi d o k a t o l i k ó w, oskarża i postuluje z żarliwością człowieka, którego boli wypaczanie słów i zasad najświętszych i świadome czy nieświadome czynienie ich służebnymi sprawom przeciw człowiekowi.

Ks Démann poruszając problem Żydów w nauczaniu religii chrześcijańskiej nie zajmuje się kwestią żydowską w całej rozciągłości, ogranicza swe rozważania wyłącznie do spraw religii, do sposobu przedstawiania Żydów w nauczaniu chrześcijańskim — pisze:

„Nie mamy zamiaru stawiać tu tak zwanego ‚zagadnienia żydowskiego" w całej zawiłości jego problematyki społecznej, ekonomicznej, politycznej, etnicznej, psychologicznej. Nie zamierzamy także przedsiębrać apologii Żydów. Jest oczywiste, że można sformułować słuszne zarzuty przeciwko jakiemuś Żydowi lub jakiejś żydowskiej grupie. I nie ma nic dziwnego w tym, że wśród grup ludnościowych, często pozbawionych korzeni materialnie i duchowo, żyjących od wieków w niepewności, wśród ostracyzmu, w atmosferze jawnego lub ukrytego prześladowania, wśród grup ludnościowych, wtrąconych w niezdrowe położenie społeczne i ekonomiczne, mogą się budzić odruchy specjalnej obrony i że mogą onę wywoływać starcia, spory, żale, krytyki. Jednakowoż jeżeli nie zaprzeczamy, że tego rodzaju społeczne i ekonomiczne trudności i pretensje mogą być — i bywają — powodem antysemityzmu, to sądzimy, że zanim staną się przyczyną, są nieuniknionym następstwem antysemityzmu już dawniejszego, ANTYSEMITYZMU POCHODZENIA — przynajmniej po części — RELIGIJNEGO. Tak więc, stawiając zagadnienie jedynie na płaszczyźnie religijnego nauczania, nie tylko trzymamy się ściśle punktu widzenia obchodzącego nas wyłącznie na tym miejscu, ale — co więcej — chwytamy problem u jego korzeni". W ten sposób odważnie i bezkompromisowo stawia ks. Démann zarzut, że świadome czy nawet nieświadome wypaczanie sensu Ewangelii prowadziło i może prowadzić do narastania muru nienawiści wbrew zasadom Tego, który przyniósł na świat miłość.

O najstraszliwszych skutkach antysemityzmu nie potrzeba dziś chyba nikogo przekonywać. Aby nie było wątpliwości jakie było i jest rzeczywiście katolickie stanowisko warto zacytować załączone w odnośniku do artykułu ks. Démanna zdanie Piusa XI wypowiedziane we wrześniu 1938 r. do grupy pątników belgijskich. Papież uznając antysemityzm za jedną z form nienawiści powiedział wówczas — „Antysemityzm jest niedopuszczalny. Duchowo jesteśmy semitami..."

„Nie można uczyć religii chrześcijańskiej nie mówiąc o Żydach — pisze w innym miejscu ks. Démann — „Musimy mówić o Żydach. Ale musimy o nich mówić tak, jak przystało prawym chrześcijanom. Oto cały problem. Mówić w sposób chrześcijański — to znaczy mówić „po ludzku": wedle prawdy i wedle sprawiedliwości. Nie zniekształcając faktów. Nie uogólniając. Nie oskarżając niewinnych. Nie szukając złego zadowolenia w poniżaniu drugich. Nie szukając niesłusznych korzyści przez wykluczanie drugich. Nie wyzbywając się szacunku dla ludzkiej osobowości, nie zapominając o swych szczerych przekonaniach i o słusznych wartościach. Nie ciesząc się z cudzego cierpienia. Nie przechodząc koło niego obojętnie".

W kilku punktach ujmuje ks. Démann zasadnicze postulaty, które należy postawić nauczaniu religii w celu wyeliminowania możliwości wypaczania pod tym względem nauk Ewangelii. W obszernych skrótach punkty te wyglądają następująco:

1. *„Przywrócić w nauczaniu historii Św., Historii Starego Testamentu to miejsce, które tradycyjnie zajmowało w chrześcijańskim wykształceniu". W ten sposób zostanie zrozumiana rola narodu żydowskiego, który przekazał chrześcijaństwu wiarę w Boga żywego, jedynego i transcedentnego.*
2. *„Nie zacierać, nie przedstawiać jakby niechętnie i wstydliwie tego faktu, że Jezus Chrystus, nasz Boski Zbawiciel był Żydem, że był urodzony z matki żydowskiej, z krwi Dawida, że należał do narodu żydowskiego i że całe swe życie wśród tego narodu spędził".*
3. *„Nie chcieć wywyższać chrześcijaństwa przez pogardę i systematyczne poniżanie judaizmu tak z epoki Chrystusa jak i ery chrześcijańskiej. Było by to niegodne ducha chrześcijańskiego i niezgodne z prawdą historyczną".*
4. *„Wobec odrzucenia wiary przez większość Izraela, a zwłaszcza przez jego kierowników, należy pamiętać, że wierność i niewierność — wielką tajemnicę ludzkiego serca — odnajdujemy we wszystkich wiekach i u wszystkich narodów".*
5. *„Czuwać przede wszyskim nad tym aby s p o s o b e m opowiadania historii i Męki Pańskiej nie wywoływać reakcji które nie są zgodne ani z duchem wiary, ani z prawdą historyczną i ani przez wiarę, ani przez historię nie są uprawnione".*
6. *Nie należy sugerować mniemania, że naród żydowski jest definitywnie odrzucony od Boga; przeciwnie trzeba pamiętać o słowach św. Pawła z Listu do Rzymian, w którym czyni zapowiedź powrotu Izraela do Kościoła.*
7. *Powrót narodu żydowskiego do Kościoła dokona się przez przyciągające działanie miłości chrześcijańskiej. Należy więc pamiętać o obowiązku świadczeniu Prawdy miłością.*

* *

Idąc śladem myśli autora artykułu trzeba przypomnieć treść pojęciową słowa, którego sens oświetla nam zawsze stosunek człowieka do człowieka Słowem tym jest braterstwo. Chrześcijaństwo nadało temu słowu realne kształty wnosząc je w pogański świat starożytny, jako zasadę ludzkiego współżycia. — „Nie masz bowiem różnicy między Żydem, a Grekiem, bo jeden jest Pan wszystkich" — pisał św. Paweł w swym słynnym Liście do Rzymian. Żarliwa troska o pamiętanie zawsze o Pawłowym wezwaniu jaka przebija ze słów ks. Démanna powina być udziałem każdego katolika. Nie ma bowiem w katolicyźmie miejsca na stosunek do człowieka sprzeczny z zasadami etyki. Jej też normami podbudowana kontrola rozumu ustrzec powinna od błędów wypaczenia myśli Ewangelii — „Jedno jest zupełnie oczywiste — woła ks. Démann i — ucząc religii nigdy nie można powtarzać tego z dość wielkim naciskiem: Jezus Chrystus cierpiał i umarł z powodu n a s z y c h grzechów, grzechów nas wszystkich, za zbawienie n a s w s z y s t k i c h, bez żadnego wyjątku i nie wykluczając n i k o g o".

tm.

Książki nadesłane

WYDAWNICTWO E. KUTHANA

Jack London: Żegluga na jachcie „Smark", str. 264.

Jan Brzechwa: Pan Drops i jego trupa (nowe wyd.).

Jan Brzechwa: Ptasie plotki (nowe wyd.).

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA"

Aleksander Serafinowicz „Żelazny potok" (wyd. drugie), str. 224.

D. Furmanow „Czapajew", str. 368.

A. Pokryszkin „Myśliwiec", str. 103.

Mao-Tse-Tung „Wojna Chin przeciw Japonii" str. 108.

A. Fadiejew „Młoda Gwardia", str. 472.

S. A. Kowpak „Od Putynia do Karpat", str. 174.

P. Szebunin „Kurhan Mamaja", str. 292.

E. E. Kisch „Chiny bez maski" (wyd. drugie), str. 208.

M. J. Kalinin „O agitacji politycznej", str. 64.
(z doświadczeń propagandy i agitacji w ZSRR).

G. Malenkow „XXXII rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej" (referat na uroczystym posiedzeniu Rady Moskiewskiej w dniu 6 listopa 1949).

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

podręcznik „Nawigacja powietrzna", str. 272.

Popularna Biblioteczka Sportowa — tomik 17.

„Punktowe tabele lekkoatletyczne" — opracował **Wojciech Lipniacki**, str. 118.

Józef Mazurek „Zaprawa marszowa", str. 80.

J. Stalin „O trzech cechach charakterystycznych Armii Czerwonej", str. 16.

J. Stalin: „O wielkiej wojnie narodowej Związku Radzieckiego", str. 212.

Dom Wojska Polskiego „O Stalinie".

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA"

Dom Wojska Polskiego „Pieśni Radzieckie o Stalinie", str. 80.

Aleksy Tołstoj: „Obrona Carycyna" — fragmenty powieści „Chleb", str. 99.

KSIĄŻNICA ATLAS

Munk Raj Anand: „Niedotykalny", str. 180.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Leon Pasternak „Strofy gniewu" — str. 98.

Anna Kowalska „Uliczka klasztorna" — str. 161.

S. Kirsanow „Niebo nad Ojczyzną" — str. 46.

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA

Robert Ludwik Stevenson — Dr Jekyll i Mr. Hyde, str. 351

Jakub Wassermann — Krzysztof Kolumb, str. 222.

Stefania Grodzieńska — Rozmówki, str. 299.

J. O. Curwood — Najdziksze serca, str. 221.

J. O. Curwood — Bari syn szarej wilczycy, str. 248.

J. O. Curwood — Szara wilczyca, str. 247.

A. J. Cronin — Klucze królestwa, str. 364.

ALBERTINUM — KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

J. O. Curwood „Łowcy wilków", str. 168.

J. O. Curwood „Włóczęgi północy", str. 187.

Ewa Zarębina „Boży roczek", str. 106.

Jeleński: „Płomienne serca", str. 219.

Eugeniusz Paukszta „Trzecia zmiana" str. 230.

B. R. Steinowa „Kamiennym toporem", str. 292.

Wł. J. Grabski: „Konfesjonał", t. I, str. 248.

Wł. J. Grabski:, „Konfesjonał" t. II, str. 276.

Wł. J. Grabski „W cieniu kolegiaty", str. 300.

Ks. dr Ignacy Świrski: „W obronie godności wesela", str. 32.

Nabożeństwo na czas nieustającej adoracji Najświętszego Sakramentu, str. 186.

Karol Korsak „Sztuka religijna w dawnych wiekach", str. 46 i XV tablic.

Ks. dr Mieczysław Dybowski: Liturgia, str. 138.

Krótki katechizm dla dzieci przystępujących do pierwszej Spowiedzi i Komunii Św., str. 63.

Ewangelia i Dzieje Apostolskie —Wstęp, nowy przekład z Wulgaty, komentarz przez **Ks. Eugeniusza Dąbrowskiego**, str. 444.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO - OŚWIATOWA „CZYTELNIK" — 1949

Jacek Bocheński — „Fiołki przynoszą nieszczęście", str. 144.

Michał Bubienow — „Biała Brzoza" — str. 459.

W. Bianki „Na tropie" — str. 92.

Łukasz Kurdybacha „Dzieje oświaty kościelnej do końca XVIII wieku" str. 202.

J. I. Kraszewski „Czarna perełka", str. 284.

Eliza Triolet „Kochankowie z Avignonu" str. 372.

Walery Przyborowski „Oblężenie Warszawy", str. 127.

Almanach Chopinowski — 1949.

Wiersze o Stalinie, str. 76.

Janina Budkowska

Wspomnienie o K. W. Zawodzińskim

Na liście strat kultury polskiej dopisaliśmy znowu bolesną pozycję: po parotygodniowej ciężkiej chorobie dn. 14 grudnia 1949 r. zgasł w Toruniu w sześćdziesiątym roku życia profesor historii literatur słowiańskich U. M. K. — Karol Wiktor Zawodziński.

Poznałam go w r. 1923 czy 24 w Wilnie, gdzie na marginesie swych ówczesnych zajęć zawodowych redagował dodatek literacki do „Słowa“. Był to wtedy mężczyzna trzydziestoparoletni, wysoki, szczupły, opięty w barwny mundur ułański. Oczy miał żywe, bystre, tryskające inteligencją, chód giętki, sprężysty, charakterystyczny chód kawalerzysty, sposób bycia swobodny, naturalny i wytworny. Wyglądał, jakby mundur przyrósł mu do skóry, jakby zwycięstwa w salonie i na polu bitwy były jedynymi sukcesami, dostępnymi jego ambicji. Dziw brał, czego szuka ten syn Marsa i Wenus w domach profesorskich, w środowiskach literackich, w kołach intelektualistów. Ale gdy zaczął mówić, ogarniało słuchacza zdumienie wręcz odmienne: po co właściwie tkwi w wojsku, czemu się nie demobilizuje ten erudyta w sprawach literackich, znawca poezji polskiej i obcej, krytyk o wytrawnym sądzie i niepospolitym oczytaniu? Gdzie i kiedy zdążył zgromadzić tyle wiedzy, chyba nie w koszarach ani na froncie?

Kogo dręczyła ta zagadka, mógł się dowiedzieć, że porucznik Zawodziński, urodzony w Warszawie 1.XI 1890 r., już w latach chłopięcych odznaczał się niezwykłymi zdolnościami i głodem wiedzy, że chłonął lekturę nierównie poważniejszą, niż pasjonujące jego rówieśników powieści Jules Verne'a czy Mayne Reada,, że po ukończeniu gimnazjum w 18 roku życia zapisał się na wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu petersburskiego, gdzie studiował romanistykę i w r. 1913 uzyskał dyplom na podstawie I cz. rozprawy o J. Cazotte, pisarzu francuskim XVIII w. Dla jej ukończenia wybrał się po roku do Paryża, lecz na wieść o wybuchu pierwszej wojny światowej pośpieszył do Galicji i zaciągnął się do legionów. Niebawem zwolniony jako chory na gruźlicę, podleczył się w Zakopanem i latem 1915 r. wrócił do kawalerii legionowej, której losy dzieli aż do obozu w Szczypiornie. Po raz trzeci wstąpił do wojska w r. 1918 już jako podoficer, awansowany wkrótce na oficera, pozostał w armii czynnej jako oficer zawodowy, oddając się równocześnie, w miarę możności, intensywnej pracy naukowo-literackiej. Czy taka dwoistość zainteresowań i działalności odpowiadała jego temperamentowi? Może, dość, że życie jego biegło tym podwójnym torem aż do r. 1932, gdy w randze rotmistrza przeszedł w stan spoczynku.

Scharakteryzować Karola Zawodzińskiego jako żołnierza, opowiedzieć o jego czynach bojowych winni by jego ówcześni koledzy. On sam nigdy o nich nie mówił, choć barwnie i żywo opowiadał o różnych epizodach wojennych, których był świadkiem i uczestnikiem, nigdy jednak nie występował jako bohater główny tych opowiadań, w których ujawniała się bystrość jego obserwacji, bezstronność sądu i porywająca vis comica, wszakże bez śladu koloryzowania. Był doskonałym narratorem, lecz ścisłość jego relacji demaskowała naukowca, nawykłego do surowej kontroli swych wypowiedzi, do metod krytyki, opartej na danych obiektywnie sprawdzalnych.

Krytykę literacką począł Zawodziński uprawiać w r. 1921, podczas rocznego pobytu w Warszawie. W „Przeglądzie Warszawskim“, a potem także w szeregu innych czasopism ogłosił mnóstwo recenzji i artykułów krytycznych, przeorywując we wszystkich kierunkach olbrzymie pole polskiej literaturze pięknej — poezji zwłaszcza — dwudziestolecia i gdyby dziś wydać łącznie te rozproszone prace, byłby to niezgorszy przewodnik po skomplikowanym labiryncie ówczesnych grup i szkół poetyckich. A jest to zarazem krytyka wysokiej wartości, ożywiona ciętym nerwem polemicznym, lecz beznamiętnym w sądzie, sygnalizująca istotne talenty niezależnie od osobistego stosunku do obozu, w jakim się pojawiły, bezlitośnie spychająca w cień szumnie reklamowane miernoty, nieomylnie odróżniająca plewy zmiennych upodobań mody od zdrowego ziarna, zdolnego przetrwać próbę czasu.

Sąd o wierszu uzasadniał Zawodziński analizą, tę zaś opierał na elementach uchwytnych i wymiernych, jak budowa rytmiczna, metaforyka, obrazowanie. Nie negował też oczywiście istnienia i doniosłości czynników wymykających się spod analizy, a nieraz decydujących o sile sugestywności poetyckiego słowa, którą wyczuwał bardzo subtelnie, choć naturalnie subiektywnie.

Dzięki swej wieloletniej działalności krytycznej, kontynuowanej aż do śmierci, wysunął się Zawodziński na czoło współczesnej krytyki polskiej i ze zdaniem jego każdy badacz musi się poważnie liczyć, choć nie zawsze się na nie może zgodzić. Stał się też gruntownym specjalistą w zakresie teorii wiersza polskiego, w czym współzawodniczyć z nim mógł przed wojną tylko Franciszek Siedlecki, po nim — prof. Maria Dłuska.

Moje pierwsze zetknięcie się z Zawodzińskim było przelotne i bez znaczenia, o wiele bardziej znaczące było drugie, choć się odbyło na odległość. Stanowić ono może znakomity przykład znanego w świecie nauki zjawiska, że nieraz drobne lub wręcz chybione poczynania mogą pobudzić prawdziwych naukowców do prac doniosłych i twórczych pomysłów. W r. 1930 „Pamiętnik Literacki“ umieścił moją rozprawę o rytmice Norwida; ze względu na ważny temat dostąpiła ona zaszczytu obszernej recenzji pióra Zawodzińskiego, znamiennej dla jego sposobu traktowania z jednej strony przedmiotu, z drugiej — autorów prac omawianych: recenzent nie darował żadnemu z licznych braków i niedociągnięć rozprawy, z samą jednak autorką obszedł się bardzo kurtuazyjnie, podniósł i uwypuklił wszystko, co dało się zapisać na plus jej osiągnięć lub przynajmniej możliwości, odpowiedzialność zaś za stwierdzone błędy złożył na karb nieistnienia w języku polskim elementarnej, jasnej i przystępnej teorii wiersza, precyzującej ściśle takie podstawowe pojęcia, jak rytm, metrum, średniówka itp. Lukę tę postanowił wypełnić własnym wysiłkiem. Tak się zro-

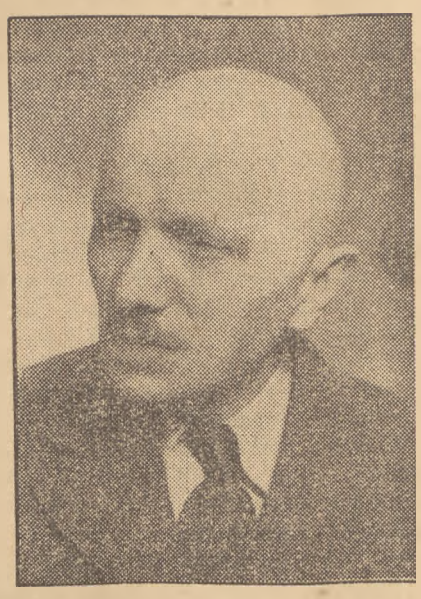

dził pomysł „Zarysu wersyfikacji polskiej“, którego cz. I wyszła w r. 1936, nad drugą zaś autor pracował do końca swych dni. „Zarys“ stanowi do chwili obecnej jedyne i niezbędne wprowadzenie do studiów nad budową wiersza polskiego.

W latach powojennych nastąpiło moje trzecie, najbliższe zetknięcie z prof. Zawodzińskim: uczęszczałam stale na jego seminarium wersologiczne (obstawał przy używaniu tego dziwotworu językowego), na zebrania Tow. Lit. im. Mick., w których brał żywy udział, na niektóre posiedzenia Tow. Nauk. w Toruniu. Tematem seminarium była druga część „Zarysu“, którą profesor odczytywał rozdziałami w miarę ich powstawania i poddawał dyskusji. Tematem ćwiczeń uczestników — zbieranie materiału dowodowego dla powyższej tezy. Sam też tego materiału nieustannie poszukiwał.

Razu pewnego w „Prozodii“ prof. Dłuskiej natrafił na cytat, który zaniepokoił jego sumienie naukowe. Było to zdanie z gramatyki Monety z r. 1720 i wskazywało na prawdopodobieństwo odmiennych wówczas, niż dzisiaj, stosunków akcentowych w języku polskim. Wyczuł od razu, że tędy wiedzie droga do wyświetlenia faktów, leżących u podstaw jego hipotezy, sam jednak nie czuł się kompetentny w dziedzinie badań językoznawczych. Ani przez chwilę nie doznał pokusy, by niepokojące go zdanie zapomnianego gramatyka zepchnąć pod próg świadomości. Wątpliwości swe zakomunikował toruńskim językoznawcom i zatroszczył się o zwołanie poświęconego tej kwestii posiedzenia naukowego, na którym dr Turska w rzeczowym i przekonywującym referacie wyraziła przeświadczenie, że w XVIII w. musiała zajść zmiana w polskich stosunkach akcentowych (przeobrażenie akcentu zestrojowego w wyrazowy) i zapowiedziała dalsze badania na poparcie tej hipotezy; prof. Zawodziński, coraz bardziej zaniepokojony, zdenerwowany i sposępniały, odezwał się jednak bez cienia urazy w głosie: „No, jeżeli pani swą tezę udowodni, to moja teza leży“. Ponieważ dla mnie nie było to jeszcze zupełnie jasne, spytałam profesora po zebraniu, czy stwierdzenie przesunięcia akcentu w XVIII w. wystarczyłoby do wyjaśnienia większości zjawisk, na których opierał swą tezę. „Nie większości — odparł — lecz wszystkich“ — a po chwili: „pani Turska ma dobrą głowę“ — i od tego dnia okazywał jej zdwojony szacunek i sympatię. O tryumf prawdy chodziło mu szczerze stokroć bardziej, aniżeli o tryumf osobisty.

Znawstwo prof. Zawodzińskiego w zakresie literatury słowiańskiej, a zwłaszcza rosyjskiej, wiadome było nie tylko w kraju, lecz i zagranicą. W r. 1933-34 zajmował katedrę historii literatur słowiańskich w Brukseli, a w r. 1946 powołano go na analogiczną katedrę do Torunia. Nie porzucił mimo to dotychczasowych prac krytycznych i wydawniczych, jednocześnie zaś poza zwykłymi zajęciami kierownika seminarium poświęcał wiele uwagi rozbudowie biblioteki swego zakładu, znacznie mniej natomiast dbał o jego urządzenie, wystarczały mu najprostsze stoły i krzesła, byle szafy na książki były dobre. Wreszcie w ostatnim roku zdecydował się na kupno fotela do swego gabinetu.

„Przyda się, by się zdrzemnąć między zajęciami“.

Zdrzemnąć się między zajęciami, to była jego metoda odpoczywania. Gdy go po wojnie spotkałam w Toruniu, nie był to już ów świetny oficer ułanów, jakiego poznałam przed laty: pochyliła się wysoka postać, chód stracił dawną elastyczność, tylko oczy patrzyły wciąż tak samo bystro, przenikliwie. Mundur zastąpiło niepozorne, niedbale noszone cywilne ubranie, a szablę ułańską — profesorska teka. Pozostały jednak żołnierskie nawyki, więcej — żołnierska natura. Nie było w nim śladu sybarytyzmu, wystarczały mu najskromniejsze warunki mieszkaniowe, sypiał po cztery godziny na dobę, jadał nieregularnie, podtrzymywał się mocną czarną kawą, której flaszkę nosił zawsze w kieszeni, pracował niestrudzenie, z całym nakładem energii, której nie umiał oszczędzać. Gdy go pytano, dlaczego się tak zamęcza, bo materialnie miał się nieźle, odpowiadał, że musi się przecież wywiązać z podjętych obowiązków, a że tych obowiązków podejmował za wiele, że nie umiał odmówić, gdy go proszono — to już inna kwestia, na którą nie dawał odpowiedzi. Może działała tutaj po prostu jego wewnętrzna dynamika, napięcie nerwów, w którym żył ustawicznie, jakby w obawie, że najmniejsze odprężenie ujawni niesłychane wyczerpanie przemęczonego organizmu. Latem nawet nie zgadzał się na odpoczynek, wyprawiał rodzinę na letnisko, rad, że będzie miał więcej wolnego czasu i spokoju do pracy.

Nie znaczy to bynajmniej, że żałował czasu dla rodziny. Przeciwnie, był ogromnie troskliwym ojcem i osobiście ingerował w codzienny bieg życia domowego. W swym pokoju sypialnym, będącym zarazem pracownią, umieścił łóżeczko synka, nie chcąc go nawet w nocy wypuszczać spod swej opieki. Pomagał dzieciom w lekcjach, kierował ich lekturą, rozbudzał ich zainteresowania. Martwił się, że sam będąc w ich wieku posiadał znacznie większy zasób wiadomości, zapominał jednak, że był pod tym względem fenomenem, wystrzelającym wysoko ponad normę.

Bezgranicznie pracowity, potępiał bezapelacyjnie lenistwo. Kto zmarnował swe zdolności, nie mógł liczyć na jego pobłażanie. „Typowy improduktyw“ — było to w jego ustach bezwzględnie dyskwalifikujące określenie. Natomiast dla cudzych przekonań był zawsze tolerancyjny, pełen rycerskiego szacunku dla walorów ideowego przeciwnika.

Nie był religijny w potocznym znaczeniu tego wyrazu, swym liberalnym poglądom dawał wyraz nawet w druku, miał jednak głęboką cześć dla religii i coś, co by może można określić jako pewnego rodzaju sensus catholicus. Byłam kiedyś świadkiem rozmowy na temat „katolickości“ współczesnych polskich pisarzy. Oceniał ją niezmiernie trafnie, nieraz wbrew utartej opinii praktykujących katolików. Głąb jego duszy zamknięta była przed wglądem obcych, sprawiał jednak wrażenie człowieka, którego trawi wewnętrzny niepokój, który nie zakończył swej duchowej ewolucji i nie znalazł jeszcze ostatecznych rozwiązań dla nurtujących go problemów. Sam nie praktykujący, dbał o religijne wychowanie swych dzieci, gdy np. w niedzielę nie mogły być na mszy, klękał z nimi do modlitwy. Nosił się z myślą umieszczenia córeczki w jakimś klasztornym zakładzie wychowawczym.

Dobroć i subtelność jego okazywała się nie w słowach, lecz w czynie. Gdy doszła go wiadomość o tym, że rodzona wnuczka Kraszewskiego przebywa w dobroczynnym zakładzie dla starców i znajduje się bez środków do życia, nie tylko postarał się o zapewnienie jej jakiejś stałej renty przez wydawców pism Kraszewskiego, ale posłał jej natychmiast 10.000 zł z własnej kieszeni. Gdy podziwiałam jego hojność, odpowiedział ze wzruszeniem ramion: „To musi być przecie w jakimś stosunku do moich dochodów, na Kraszewskim zarobiłem już około 100.000“.

Zdarzyło się raz na seminarium, że w pierwszych zaraz wierszach referatu czytanego przez studentkę sprostował jakiś istotny błąd. Zrozumiawszy o co chodzi, autorka referatu złożyła swą pracę i oświadczyła, że czytać jej dalej nie warto, ponieważ wobec błędnego założenia całość nie ma żadnej wartości. Profesor odczuł, że zbyt pośpiesznym zareagowaniem zrobił przykrość inteligentnej i pilnej uczennicy. Był

(Dokończenie na str. 4)

Kazimierz Koźniewski

DLACZEGO NIE MÁ?

(Artykuł dyskusyjny)

Redakcja nie podziela dużej ilości tez wysuniętych przez Autora artykułu. W numerze następnym opublikujemy artykuł, który polemizując z uwagami K. Koźniewskiego określi zarazem nasze w tej sprawie stanowisko.

Przed kilku tygodniami byłem przygodnym słuchaczem dyskusji, jaka podczas Zjazdu Studentów Polonistyki rozgorzała nad referatem omawiającym katolicką powieść współczesną w okresie międzywojennego dwudziestolecia. Referent w swej zasadniczej wypowiedzi za punkt wyjścia przyjął formułę, uznającą za katolickie powieści pozycje czytane i aprobowane przez katolików w owym czasie. Ten punkt wyjścia został zaatakowany przez mówców z obozu katolickiego, z których jeden stwierdził nawet, iż książki zaliczone przez referenta do **„katolickich“** w istocie reprezentowały wyłącznie **„endecką powieść antybolszewicką“.** Mówcy katoliccy zasadniczo stali na stanowisku, iż współczesnej powieści katolickiej w okresie międzywojennego dwudziestolecia właściwie nie było.

Oczywiście można — moim zdaniem — przyjąć dla pewnych celów założenie, iż za literaturę katolicką wypada uznać powieści aprobowane i czytane przez koła katolickie w Polsce, czy w jakimkolwiek innym kraju. Z założenia takiego można wysnuć wnioski nader interesujące i pod pewnym względem absolutnie słuszne. Będą one mianowicie tyczyły gustów intelektualnych objawianych i reprezentowanych przez katolicki zespół czytelniczy. Będą one wskaźnikiem przekonań politycznych nurtujących zespół katolickich czytelników. Analiza przeprowadzona na Zjeździe w zasadzie odpowiada prawdzie tamtego czasu: pomimo wyjątków skupiających się wokół „Verbum“, poznańskiej „Kultury“, czy wileńskiego „Pax“, wyjątków będących w obozie ówczesnego katolicyzmu polskiego w mniejszości, gros było zorientowane, — co tu obwijać w bawełnę, — po prostu endecko. Powieść czytywana i uznawana przez katolików (przez tą większość, a nie mniejszość) była powieścią endecką, obskurancką, politycznie wsteczną.

Ale idąc krok dalej w analizie podjętej przez referenta na Zjeździe, należy dopowiedzieć jeszcze następny wniosek. Powieść ta była czytywana przez czytelników katolickich i reklamowana w wydawnictwach katolickich (z małymi wyjątkami) wcale nie dlatego, iż w swej istocie była to powieść katolicka, lecz że reprezentowała pożądany wydźwięk polityczny i ideowy. To była główna przyczyna jej popularności. To stwierdzenie jest prawdziwe, i ono właśnie jest ciężkim oskarżeniem pod adresem ówczesnego polskiego obozu katolickiego, który — z małymi wyjątkami — był siedliskiem działania sił antylewicowych. I ostatecznie jeżeli młodzież szkolna w piątej czy szósej klasie gimnazjalnej przestawała chodzić do spowiedzi, buntowała się młodzieńczo przeciw Kościołowi, publicznie deklarowała wobec władzy gimnazjalnej, iż uczy się religii jedynie dlatego, iż z tego przedmiotu potrzebny stopień do matury — przyczyna owej apostazji tkwiła właśnie nie gdzie indziej (a o tym mogę mówić z całą odpowiedzialnością za me słowa!) tylko właśnie w fakcie praktycznego sojuszu dużej większości katolików z ugrupowaniami społecznej reakcji. I vice versa! Jeżeli w gimnazjach warszawskich istniały silne grupy młodzieży katolickiej — był to jedynie rezultat sprawności organizacyjnej „Nogi“ (Narodowej Organizacji gimnazjalnej — tajnej ekspozytury Stronnictwa Narodowego) czy równie tajnego gimnazjalnego ONR-u. Antykatolickość równała się antyendeckości, i przeciwnie. Tego rodzaju uproszenia były oczywiście straszliwym błędem. Ale dlaczegóż nie mieli błędu tego popełniać szesnastoletni sztubacy, gdy popełniony on został w praktyce przez większość katolików polskich?

Idźmy dalej. Że cytowane przez referenta powieści były czytywane przez katolików dla ich walorów politycznych, ideowych, a nie religijnych — nie mogło być inaczej, gdyż polska międzywojenna powieść katolicka, bodaj z jednym wyjątkiem („W cieniu kolegiaty“ Grabskiego) w gruncie rzeczy nie interesowała się zagadnieniami par exellence katolickimi Jej katolicyzm był w najlepszym razie rytualny. Prof. Borowy — właśnie uczestnik mniejszości reprezentującej w obozie katolickim skrzydło zdecydowanie antyendeckie — kwestionuje nawet katolickość prawdziwą, istotną, głęboką wielkiej powieści Szczuckiej. Jeżeli taki sąd spotyka „Krzyżowców“ — to cóż dopiero mówić o innych powieściach!

Kilka tygodni temu w „Dziś i Jutro“ ukazał się ciekawy artykuł brytyjskiego pisarza Marshalla, który uważa, iż katolicki pisarz może pisać na każdy temat, „o morderstwie w Beludżystanie, albo o chórze girlsów z Folies Bergeres“, pod warunkiem jednak iż posłuży to do ukazania katolickiego sensu świata. Rozumiem to w ten sposób, że Marshall żąda jakiegoś swoistego „realizmu katolickiego“, to jest wykazywania w każdym nawet bezpośrednio nie tyczącym zagadnień Kościoła temacie, iż losem ludzkim kieruje „Ręka Ojca“. Otóż jeżeli przyjmiemy — a wydaje mi się to rozsądnym i słusznym — za właściwe takie właśnie zrozumienie istoty katolickiej, no to przecież w piśmiennictwie polskim **w ogóle mało będziemy mieli przykładów** takiej powieści, a już w okresie międzywojennym — chyba najmniej!

Pokażcie mi polskiego pisarza (do roku 1939) który by w ogóle zastanawiał się nad nieziemskim, boskim sensem świata i wydarzeń. Nie dostrzegam ani jednego. Raz dokonawszy operacji politycznej, która utożsamiła katolicyzm z polskością (to było taktycznie świetne posunięcie kontr-reformacji!) odwrócono uwagę Polaków w ogóle, a myślicieli naszych w szczególe od zagadnień religijnych. Wiara nasza była czymś nader powierzchownym, automatycznym, niejako obowiązkiem patriotycznym.

I w tym zrozumieniu w Polsce nie było literatury katolickiej. A stwierdzenie tego rodzaju nie jest bynajmniej obroną przed atakiem marksistów. Jest to — niestety! — ciężkie oskarżenie właśnie polskiej kultury katolickiej.

Literatura taka nie mogła powstać w środowisku, kóre nie zastanawiało się nad prawdami wiary w sposób bardziej istotny. A ustana i zastana tradycyjność religii katolickiej w naszym narodzie sprawiała, iż nikt nie czuł potrzeby takich rozmyślań. Żadna siła do tego nie pobudzała, wielu wolało, by wiara tego rodzaju procesom intelektualnym nie podlegała. Nawet w szeregach duchowieństwa spostrzec było można kapłanów, którzy woleli, by wierzący postępowali w myśl przykazań nie zastanawiając się nad nimi. A rzecz oczywista, bez analiz tego rodzaju, bez narodzenia się katolicyzmu intelektualnego, nie mogło być mowy o prawdziwej literaturze katolickiej. Najwyżej o takiej jaką dysponowaliśmy w Polsce, literaturze politycznej, a nie światopoglądowej. W zakres mych uwag nie wchodzi literatura propagandowo - dewocyjna.

Tam wszędzie gdzie katolicyzm jest bezwzględną siłą panującą, gdzie nie ma groźnych przeciwników, heretyków (Wielka Brytania), gdzie nie ma przeciwników politycznych (Francja, od chwili rozdziału Kościoła od państwa), gdzie nic mu nie zagraża — tam wszędzie przeciętny kapłan rzadko odwołuje się do pomocy intelektu. Katolicyzm intelektualny powstał we Francji, w Wielkiej Brytanii, może nawet w Ameryce. Nic nie słychać o nim we Włoszech, czy w Hiszpanii. Nie było go w Polsce.

W masach na pewno jeszcze go nie ma. W masach w ogóle trudno mówić o katolicyźmie intelektualnym. Zaczyna się jednak pojawiać wśród naukowców i pisarzy. Lichniak umieścił w swym artykule o „Powojennej Powieści Katolickiej“ zdanie następujące: „Warunki zewnętrzne w Polsce powojennej sprawiły, że katolicy — przeciwstawiając się światopoglądowo zorganizowanej akcji innego przeciwnego im filozoficznie światopoglądu — musieli wypracować precyzyjniejsze, skuteczniejsze niż dawniej środki obrony i propagandy tych wartości, które są dla nich najistotniejsze“. Zdanie absolutnie słusznie wskazuje na istotne źródła wzmocnienia się (a może w ogóle zjawienia się dopiero teraz) polskiej katolickiej powieści, jako dowodu, iż gdzieś tam zaczyna kiełkować katolicyzm intelektualny. Czy jednak nastąpiło to u nas wyłącznie pod naporem treści przeciwnych filozoficznie?

Pierwszymi powieściami katolickimi po wojnie były „Kamienie wołać będą“, „Saga o Jarlu Broniszu“ — obie poczęły się w swych korzeniach literackich u progu wojny, może nawet przed nią. Jeżeli Gołubiew swego „Chrobrego“ rozpoczął pisać w 1940 roku, to musiał o wiele wcześniej nosić go w sobie! Zresztą identycznie ze „Srebrnymi Orłami“ (choć przy tej pozycji zastanawiałbym się bardzo poważnie czy jest to powieść katolicka w sensie sprecyzowanym przez Marshalla, czy też historyczna powieść polityczna o czasach kiedy Watykan był głównym motorem polityki europejskiej, — osobiście opowiadam się za tą drugą koncepcją!) — też musiał je Parnicki piastować jeszcze przed 1939. Ponadto w 1939 ukazała się powieść „W Cieniu Kolegiaty“ — chyba właśnie katolicka powieść współczesna. A więc już w latach 1937 — 39 zaczynała kiełkować w Polsce powieść katolicka, a więc zaczynały się budzić jakieś odruchy katolicyzmu intelektualnego.

Mam wrażenie, iż dwa były korzenie procesu tak nowego na naszym gruncie. Jeden — to siódma woda po francuskim kisielu. Intelektualne pielgrzymki do Paryża czyniły swoje. Katolicyzm francuski, tak bardzo prężniejący w swej właśnie intelektualnej formie, miał moc fascynowania Paryżan znad Wisły. Było by to oczywiście zjawisko słabe i może nawet przejściowe, gdyby równocześnie nie zaczęły grać inne przyczyny: ofensywa ideologiczna marksizmu, jeszcze politycznie w Polsce słaba, niosła jednak w sobie zarodek przyszłej siły uderzeniowej. Katolicy czuli, jeżeli nawet w całości sobie tego nie uświadamiali, iż przyjdzie im zetknąć się niebawem z przeciwnikiem ideowym, przeciwko któremu należy przygotować bardziej doskonałe narzędzie współzawodnictwa niż kantyczki chórów kobiecych i kazania wiejskich proboszczów.

Tę rolę spełnia — obok postępowego wzorca ustrojowego — katolicka powieść współczesna. Odradzający się intelektualnie katolicyzm francuski i podobnie rozwijający się katolicyzm brytyjski posługuje się nią nader skutecznie. Takim narzędziem jest również nowoczesna katolicka sztuka kościelna. Wcale nie jest przypadkiem, że właśnie w roku 1949 — w Polsce rozległo się wołanie o nową sztukę kościelną, któ ra by przekroczyła zakres poczciwych dewocjonalii i przemówiła nie tylko do tłumu prostaczków, lecz stać się mogła jednym z fundamentów katolicyzmu intelektualnego, który w Polsce jest teraz równie potrzebny, jak potrzebnym był w Anglii, we Francji i w wielu innych krajach.

Nie było w Polsce dotychczas prawdziwej literatury katolickiej, gdyż nie było w ogóle katolicyzmu intelektualnego. Od uformowania się silnych pozycji tego ostatniego — zależy też przyszły los polskiej powieści katolickiej.

Tak rozmyślałem słuchając dyskusji na Zjeździe Polonistów. Nie wziąłem w niej udziału uważając się tam jedynie za przelotnego gościa. Korzystam obecnie z gościnności „Dziś i Jutro“, choć wiem, że kolegium redakcyjne tylko w pewnej części może się z moim zdaniem zgodzić.

Kazimierz Koźniewski

NA ZAMÓWIENIA KIEROWANE DO ADMINISTRACJI „DZIŚ i JUTRO“ SP. WYD. „PAX“ WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPŁATĘ ZŁOTYCH 750 za EGZ. NA KONTO PKO I-8515 LUB PRZEKAZEM POCZTOWYM

Wspomnienie o K. W. Zawodzińskim

(dokończenie ze str. 3-ej)

niepocieszony. Prosił i nalegał, by czytała dalej, wmawiając, że praca mimo błędnego założenia może jednak mieć wartość, zapewniał, że nieraz błąkanie się po manowcach doprowadzało do nowych i ciekawych spostrzeżeń, otwierało nieprzeczuwane możliwości. Użył całej swej wymowy i argumentacji, by zatrzeć przykre wrażenie i przywrócić speszonej studentce zachwianą wiarę we własne siły. Osiągnął tyle, że opuściła zebranie nie tyle pod wrażeniem własnego niepowodzenia, ile wzruszona i ujęta życzliwym stosunkiem do niej profesora.

Może najbardziej charakterystyczną cechą prof. Zawodzińskiego była jego niezwykła prostota i rzadka skromność w ocenianiu siebie. Nigdy poczucie własnej wiedzy i wartości nie uderzyło mu do głowy. Pisał z trudem, walcząc z oporem materiału językowego i przyznawał się otwarcie do swego — jak mówił — nieuleczalnego niedołęstwa stylistycznego. Gdy mu kto zaproponował poprawkę w napisanym przez niego zdaniu, przyjmował ją bez urazy i ze szczerą wdzięcznością. O sobie mówił mało i tak rzeczowo, jak o kimś obcym.

Jego choroba stała się okazją do ujawnienia, jak bardzo był ceniony i kochany. O stan jego dopytywano z głęboką troską, zjechali się liczni przyjaciele i krewni, bliżsi i dalsi współpracownicy. Zgodnie z jego życzeniem, wyrażonym przed paru laty a zapamiętanym przez synka — został pochowany w mundurze ułańskim, symbolu jego pełnego trudu, walki, nieustannej czujności i gotowości żywota.

Janina Budkowska

Czytajcie „Słowo Powszechne“

Zygmunt Lichniak

PROBLEM

Mikołajowi Rostworowskiemu

Stadionem wstrząsnął gwałtowny ryk. Wszyscy zerwali się z miejsc. Lewy łącznik długim woley'em podał piłkę prawoskrzydłowemu. Duży, ryży chłop przejął ją na główkę, wysunął sobie pewnie ku linii autowej, minął lewoskrzydłowego zielonych, zdryblował środkowego pomocnika, ślicznym wózkiem przejechał obok ostro atakującego beka i jak motor walił na bramkę. Bramkarz nerwowo nacisnął czapkę, skulił się jak sprężyna i wzywał na pomoc drugiego obrońcę. Nim tamten doskoczył do napastnika, ryży lekko, spokojnie strzelił pasówką w prawy róg. Bramkarz nie widział nawet, kiedy piłka ugrzęzła w siatce. 2:0! Stadion ryczał, gwizdał i tupał. Bramkarz, kręcąc rozpaczliwie głową, nie podnosząc czapki, która spadła mu w czasie nieudanej, bo spóźnionej robinzonady, wolno, niechętnie wyrzucił piłkę na środek boiska. Zieloni opieszale ustawiali ją na centrze. Do przerwy brakowało siedmiu minut. Tłum rozgorączkowanych kibiców cichł powoli, machał jeszcze rękami, gadał, śmiał się, lecz większość już siadała na swoich miejscach. Ponure wyrostki niemieckie znów zaczęły roznosić lemoniadę, piwo i gumę do żucia.

Wiktor usiadł w cieniu jakiejś rozłożystej damy i poczuł, że za chwilę może być z nim źle. Co jakiś czas odbijało mu się jajko z chrzanem i to paskudne mięso, nadziewane rodzynkami. Z początku usiłował maskować się dyskretnie, ale później czkał już ordynarnie i bez ceremonii. Po jaką cholerę obżerał się dzisiaj jak głupi? Po co przylazł na tę beznadziejną kopaninę? Po co ciągnął ze sobą tę malutką, zastrachaną Francuzeczkę, którą zresztą zaraz na początku odbił mu jakiś Amerykanin, częstując „Chesterfieldami" i czekoladą? Poleźli pewnie gdzieś na te ich francusko - amerykańskie ksiuty, a on siedzi jak bałwan i ryczy wraz z tysiącem innych bałwanów, patrząc jak dwudziestu dwóch idiotów ugania się w ten piekielny upał czerwcowy za piłką. Po co mu to wszystko?

Zły na siebie, rozjątrzony i blady, przymrużonymi chytrze oczy ma demaskował otaczających go ludzi, stosunki i świat. Cholerny świat! Ta gruba cynadera w słomkowym kapeluszu puszczała się dawniej z Niemcami, a teraz krwisty sierżant w rozpiętym battle-dressie przyciska upierścienioną łapą jej uda, rozlane pod cienką żorżetą nowej sukni. Tamten bubek — o trzy miejsca dalej — dzisiaj jest sekretarzem jakiegoś tymczasowego komitetu, chodzi jak lord, a jeszcze trzy tygodnie temu chłeptał rozgotowaną brukiew i bał się flegmony. Albo ten mecz! Z jednej strony jedenastka zdrowych byków, w ładnych satynowych koszulkach, z czarnymi numerami elegancko powyszywanymi na plecach, a z drugiej — w zielonym trykocie jedenastu zmartwychwstańców z kilkucyfrowymi numerkami, wypalonymi nad przegubem wychudłych dłoni. Jaki sens ma ta kopanina między wybawionymi od śmierci, a wybawicielami? Jaki sens ma to wszystko?

Gdy w pierwszych dniach maja czołg amerykański wjechał do ich lagru, gdy pijani pierwszym łykiem wolności i whisky tańczyli wokół zrąbanego masztu lagrowego, gdy wciągnęli na siebie czyste kalesony, koszule i pachnące jeszcze fabryką mundury, gdy stare, grzeszne dranie przypomniały sobie słowa modlitwy dziękczynnej, wymawiając z zażenowaniem imiona swoich zapomnianych patronów i Marii — wszystko miało sens radosny i zwykły. Po prostu — życie, nowe życie, a może tylko — życie znowu. A teraz?

Mdły smak mięsa z rodzynkami i twardego jajka z chrzanem wypełnił znów jamę ustną i łechtał gdzieś w głębi kanałów nosowych. Wiktor skinął na chłopaka, wypił szklankę przecukrzonej lemoniady i splunął.

Powoli butem rozcierał gęstą ślinę i w ostatniej niemal chwili opanował się nagle, aby nie trącić niby mimowoli siedzącej przed nim pary, która bez żenady delektowała się pierwszymi radościami dotyku. Cholerny świat!

Gwizdek sędziego, obwieszczający początek przerwy, wdarł się w uszy ostrym, bolesnym zgnieciem. Cholerny gwizd! Ten kutwa w jedwabnych majtkach gwiżdże jak na koniec świata. Wściekli się wszyscy, czy co?

Wiktor czuł, że przesadza, że świat, ludzie, mecz, ta cała jego rozdygotana złością niedziela jest trochę inna. Wiedział, że jego ból płytki i cierpki, jego niechęć i zawiść tłumaczy się nie tyle obiektywnym układem sytuacji, ile tym, że wczoraj przegrał w pokera dwie paczki amerykańskie, że dzisiaj niepotrzebnie dogodził sobie tym jajkiem i mięsem z rodzynkami. Może czym innym, jeszcze... Uciekał jednak przed sobą, przed prawdą, która już w nim zaczęła się buntować, domagać głosu, wzywać do odważnej walki.

Dopiero gdy w chłodnej, czystej, wykładanej białymi kafelkami toalecie ulżył sobie, pomagając żołądkowi bezczelnym ruchem najdłuższego palca, gdy wypłukał usta świeżą, zimną wodą, przyznał się przed sobą do wszystkiego. Tu nie chodziło o mecz, o klempę w żorżetowej sukni, o bubka z miną lorda. Nie chodziło o małą Juliettę, czy nawet o przegraną w pokera i dzisiejsze obżarstwo. Za tym wszystkim stał uśmiechnięty ironicznie Marcin. To on. To o niego chodzi. O jego sprawę. Dlatego taka ta niedziela, ten stadion, ci ludzie i wszystko. Wiktor czuł wzbierającą w nim na nowo wściekłość i gorycz. Czuł, że na nic zdadzą się oszustwa, że musi do tego wrócić.

Marcina poznał za drutami. Miał tak samo ogolony łeb, jak on, tak samo krył się nieufnie przed innymi, tak samo czekał na drugiego człowieka, żeby z nim rozmawiać, tęsknić, być razem. Gdy zeszli się ze sobą na dobre, gdy zżyli się i zrośli, tworząc niemal — jak się w takich wypadkach mówi — jedno, ani razu nie było między nimi mowy o przyjaźni. Po prostu — byli z sobą. Inni z dwuznacznym uśmiechem patrzyli na to ich „bycie razem", a stary profesor Z. niedwuznacznie rozmawiał z nimi o przykrych skutkach fizjologicznych i psychicznych greckiej miłości. Ale to nie było to.

Potrzebni byli sobie zupełnie inaczej, poważnie, po ludzku. Kłócili się z sobą często. Ale zawsze każdy z nich mógł przewidzieć, na co drugi się nie zgodzi. Nie unikali tych sprzeczek, ale wiedzieli, że wiedzą, o co im się w każdej sytuacji przyjdzie pokłócić. Jeden drugiego nie mógł niczym zaskoczyć. Nawet świństwem. Raz Wiktor był wściekle głodny. Poprosił Marcina, aby mu „pożyczył" porcję brukwi. To było — według ówczesnych praw — świństwo. Oczywiście, Marcin odmówił, on też był głodny. Ale obydwaj wiedzieli, że tak właśnie będzie, że tak musi być. Wiedzieli, że kiedyś jeden poprosi, drugi odmówi i — nic się nie zmieni. To ich łączyło najmocniej.

Nagle — po uwolnieniu przez Amerykanów — Wiktor dostał pałą w łeb. Na jakiejś popijawie zgadało się o Polsce. Że wreszcie można wracać, że ojczyzna itd. Wiktor nie pamięta, kto pierwszy z dużej grupki rzucił w pijackim roztkliwieniu tamto patetyczne słowo, ale pamięta ironiczny uśmiech Marcina. Spytał lakonicznie i poważnie, co to jest ojczyzna. Gdy ktoś mu odrzucił słowo „Polska", zapytał z tym samym uśmiechem i tym samym głosem, co to jest Polska.

Wtedy zaczęli się śmiać, mówili, żeby się nie wygłupiał i nie udawał filozofa, bo i tak nie dadzą się nabrać. Marcin wstał i walnął pięścią w stół. Głos mu drżał gniewem i bolesną ironią, gdy powtarzał swoje pytania. Tak się zaczęło na dobre to, co ich rozdziela. Po raz pierwszy Marcin go zaskoczył. Obydwaj wiedzieli, że nie spodziewali się tego, co nagle między nimi wyrosło. Wiktor — nigdy o tym nikomu nie mówiąc — ufał Marcinowi bezgranicznie. Wiedział, że jest to facet rzetelny, prawdziwy, że niczego nie mówi na wiatr. Wiedział, że wtedy też pytał naprawdę. Wylazła z niego pasja docieczenia wszystkiego rozumem. A że był bardzo inteligentny, zapędził tamtych w kozi róg. Mówił o wtórności takich pojęć, jak naród, o geopolitycznym tylko ich znaczeniu, o szkodliwości ambicji narodowych w uniwersalistycznym dążeniu rozwojowym. Wyliczał wojny wybuchłe na tle szowinistycznym, krzyczał o poważnych zahamowaniach kulturalnych, spowodowanych lokalnymi przywiązaniami takich czy innych grup etnicznych. Tamci machnęli ręką, stwierdzając, że Marcin bredzi. Wiktor wiedział, że to nie są brednie, że Marcin mówił o swojej najboleśniejszej prawdzie. Domyślał się, że jest w tym także prawda o domu Marcina, z którego zostały tylko gruzy, przywalające całą jego rodzinę, wiedział jednak, że to nie tylko to, że to za mało, aby całą sprawę zbyć milczeniem. Marcin powiedział, że do żadnej ojczyzny nie wraca, bo żadnej ojczyzny nie tylko on, ale w ogóle nikt nie ma. Bujda romantyczna i tyle! Na tej rozmowie się nie skończyło.

Wiktor był na tyle inteligentny, czy może tylko przebiegły, aby ciężaru dalszych rozmów nie brać jedynie na siebie. Wiedział, że Marcin go przegada. Aranżował więc chytrze spotkania z tymi, którzy mieli większe szanse pokonania Marcina w dyskusji.

Domyślano się, że może jakieś urazy polityczne stanowią przyczynę jego — jak mówiono — dziwaczeń. Ale gdy Marcin wywalił niemal na zbity pysk jakiegoś polskiego oficera, który kokietował go propozycją uroczego werbunku i czerwono - białą naszywką „Poland", domysły te okazały się bezpodstawne. Wtedy jakiś student psychologii tłumaczył całą sprawę nieznanym większemu ogółowi kompleksem antyojczyźnianym. Nikt nie miał racji. Dla Marcina cała kwestia była zagadnieniem niemal filozoficznym. Nie było w tym żadnej pozy. Był jakiś wewnętrzny mus, jakiś fatalistyczny — jak sądził Wiktor — upór intelektu. Jedyną nadzieję można więc było pokładać w starym profesorze Z. Po dobrej kolacji rozmowę skierowano na właściwe tory. Staruszek był spokojny i opanowany. Marcin wściekał się coraz bardziej. Profesor grzecznie przypierał go do ściany. Jego diagnozy zaskakiwały lekkością i trafnością. „Pan, proszę pana, będzie cierpiał na odciski nawet po amputowaniu obydwu nóg. Pan kocha odciski. Bo pan jest inteligencka, przeintelekutalizowana fujara. Powierzchownie przeintelektualizowana". Marcin ratował się wódką. Chciał, aby jego przegrana mogła tłumaczyć się pijaństwem. Profesor demaskował go uprzejmie, lecz bezwzględnie.

„Niech pan pije, drogi strusiu. Pan nie chce przyjmować argumentów, chociaż argumenty rozumowe to nie wszystko jeszcze. Napięcia emocjonalne też się liczą. Rozumie pan? Jedno wzruszenie, małe wzruszenie może obalić pańskie tezy. I to będzie argument przeciwko pańskim tezom. Nie tezom w ogóle, ale właśnie pańskim. Niech pan pamięta: nawet jedno małe wzruszenie. Rozumie pan?" Spojrzenie staruszka było ciepłe, i tkliwe. Marcin miał już dość wódki i profesora. Przygarbiony nad stołem, gdzie — nie widząc już nawet tego — przewrócił dwa kieliszki i solniczkę, głosem sugestywnym i pełnym głębokiego przekonania, sformułował swój ostatni argument. „Gówno! Rozumie profesor? Gówno!" Staruszek uśmiechnął się wyblakłym błękitem połyskujących za okularami źrenic i ciepło, serdecznie zakończył rozmowę:

„Rozumiem. Pan już jest gówno. Ale gówno też kiedyś może odnaleźć swoją ojczyznę". To było wczoraj, przed pokerem.

Wiktor już spokojniej przyjął drugi gwizdek sędziego, rozpoczynający grę po przerwie. Usiadł teraz niżej koło jakiejś grupki wyrostków. Wśród wyrostków, jak i całej zresztą publiczności, złożonej przeważnie z Polaków, dawało się odczuć znacznie większe zainteresowanie grą, niż przed przerwą. Każde zagranie zielonych wywoływało żywiołową burzę dopingu. I zieloni grali jakoś inaczej. Akcje ich nabrały ciągłości i polotu. Martwota Wiktora obojętnie przyglądającego się zawodom, zaintrygowała jednego z wyrostków, bo patrzył na niego przez chwilę z wyraźną dezaprobatą, wreszcie nie wytrzymał: „Panie, nie wiesz pan jeszcze?". Wiktor nie wiedział. W czasie przerwy w drużynie zielonych przeprowadzono zmiany. Na miejsce środkowego napastnika, Francuza Lupunois'a wszedł Adam Marczak, podobno świetny gracz; na łącznika — zamiast Belga Urbeina — postawiono Sopoćkę, śląskiego pierona, a bramkarza Fina Helmutha zmienił warszawiak Rosowski. „Rozumiesz pan? Teraz grają sami nasi. To coś jakby nieoficjalny mecz międzynarodowy: Polska — Anglo amerykańce". Wyrostek jeszcze nie skończył, gdy gwałtowny ryk zakolebał stadionem. To Marczak po wspaniałej paradzie solowej strzelił gola. 2:1! Grupa wyrostków wżynała się w ryk tłumu ostrym, kogucim falsetem, dysyć zgodnie przechodzonej mutacji.

Słowo „Polska" rozbite na rytmicznie po sobie następujące sylaby coraz częściej wypływało z długotrwałego skandowania. Wiktor skurczył się w sobie na przypomnienie ironicznych spojrzeń Marcina. Później zapomniał o nim, bo wchłonęła go fala entuzjazmu i podniecenia, coraz częściej podrywająca polskich widzów z miejsc. Przy stanie 2:2 gra nabrała przykrej ostrości. Dobrze odżywione draby waliły się całym ciałem na zielonych. Tamci przewracali się, wstawali, gnali naprzód. Jednego znieśli. Grali w dziesiątkę. Nagle Marczak dostał piłkę od lewego pomocnika, minął jednego, dwóch, doszedł do pola karnego, jak gdyby pchał go naprzód ochrypły okrzyk setek gardzieli, już na siedem metrów od bramki wyrobił sobie wspaniałą pozycję do strzału, gdy obrońca angielski zwalił się na niego z tyłu całym kilkupudowym ciężarem. Przewrócili się obaj. Widownia na chwilę zastygła w przerażeniu, wrażliwszym zdawało się, że słyszą chrzęst kości. Dopiero później nad stadionem rozpętał się piekielny gwizd. Sędział powinien podyktować karnego. Obskoczyło go jednak trzech drabów w ślicznych satynowych kostiumach i zaczęło mu — wymachując rękami — tłumaczyć coś gorliwie i przekonywająco. Sędzia nie odgwizdał karnego. Obrońca angielski, kulejąc, stanął znów na swoim miejscu. Marczaka zniesiono z boiska.

Wiktor, spocony i ochrypły, ze łzami oburzenia w oczach klął, jak ostatni dorożkarz. Rozdygotany szukał u innych widzów niewątpliwej akceptacji swojego gniewu. Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. Kiedy dojrzał nieruchomą i spokojną twarz Marcina, nie zdążył pomyśleć do końca, jak śmieszny musi się wydawać tamtemu, bo uderzyła w niego inna myśl: Marcin nie miał w kącikach ust wczorajszego, ironicznego uśmiechu.

Natomiast w kilka dni później, gdy wracali razem do Polski, pojawił się u niego uśmiech inny, którego Wiktor nie umiał określić. Opowiadał mi, że był to uśmiech nie tyle smutku, czy radości, ile raczej nieokreślonego niepokoju. Wiktor nie wiedział, co to za niepokój. Pamięta, że nic nie potrafiło spędzić go z twarzy Marcina. Ani anegdoty sympatycznej towarzyszki podróży, grubej facetki w żorżetowej sukni, ani sztuczki kuglarskie miłego bubka z miną lorda, ani nawet gra w bridge'a, w którego tłukli całą czwórką.

Nie usiłowałem więcej od Wiktora wyciągnąć. Sprawę Marcina określił ostatecznie jako inteligenckie fanaberie. Nie wiem, ile w tym określeniu było zaufania do diagnozy profesora Z., a ile zwykłej samoobrony i wygodnictwa. Pamiętam tylko, że tym samym określeniem przywitał moje wystąpienie, gdy w zadumie mówiłem, że sprawa Marcina to problem.

Zygmunt Lichniak

Aleksander Rogalski

Literatura i moralność

Problem związków literatury z moralnością i moralnej odpowiedzialności pisarza jest i będzie niewątpliwie problemem wiecznie żywym i otwartym. Zagadnienia te nie dadzą się nigdy ostatecznie wyczerpać, ponieważ literatura i moralność są tymi potężnymi przejawami ducha ludzkiego, które wytwarzają między sobą ciągłe napięcie.

Zacznijmy od tematyki literackiej. P. Zofia Starowiejska - Morstinowa w ciekawych rozważaniach „O wolności pisarza katolickiego" (Tygodnik Powszechny nr 31/48) stwierdziła, że „jeżeli istnieją całe ogromne partie ludzkiego życia, które nie dają sposobności do ciągłego ujawniania katolicyzmu, to ta sama proporcja może i musi zachodzić w literaturze". Wydaje się, że zdanie to domaga się pewnego komentarza. Gdy zastąpimy pojęcie katolicyzmu jako sprecyzowanego systematu dogmatycznego, bardziej ogólnym pojęciem postawy moralnej, czy stosunku do świata — a pojęcie to w literaturze katolickiej znajduje znacznie częstsze zastosowanie, aniżeli pierwsze — a natomiast zwężymy pojęcie literatury do literatury artystycznej, to wówczas dojdziemy do wniosku, że przeniesione do tej literatury owe momenty życia ludzkiego znacznie rzadziej okażą się obojętne dla postawy duchowej autora. Analogia do rzeczywistości nie zawsze tu daje się zastosować. Widok człowieka szyjącego buty może być całkowicie obojętny dla naszej istoty moralnej jako widzów. Przeniesiony jednak do literatury czy malarstwa ulega najczęściej osobliwej transformacji, w ruch wprawia nie tylko naszą estetyczną, ale i uczuciowo - moralną wrażliwość, gdyż w zakresie sztuki zarówno twórca, jak i odbiorca angażują się całą swoją istotą, nie zaś tylko jedną lub drugą jej stroną. Pospolite sceny z życia przeniesione do sztuki zostają jakby usublimowane, ujawniają ukryty swój sens. Znany miedzioryt Duerera, przedstawiający św. Hieronima, pracującego w celi, mimo swego realistycznego ujęcia, tchnie taką głębią przeżycia i takim nastrojem, że widz od razu czuje się wciągnięty w świat chrześcijańskich doznań. A sprawia to nie tylko postać świętego.

Ale istnieje też proces odwrotny — wskutek mankamentów moralnych lub artystycznych twórcy. Takie partie stanowią wówczas w dziele przykre dysonanse. Dlatego wielka literatura broni się nie tylko przed inwazją przykrych, ale nawet pospolitych momentów z życia, jeśli nie widzi możliwości swoistej ich transpozycji, gdyż ona wie, że potrzeba zadośćuczynienia wymaganiom gatunku, np. powieści w zakresie oddania tak zwanej prawdy życia, jest często tylko wybiegiem maskującym motywy dalekie od względów artystycznych — chyba, że autor wyznaczył im ważną rolę, jako czynnika kontra-punktycznego w rzeczywistości moralnej dzieła. André Gide'a drobne, konkretne szczegóły z życia wprawiały w irytację — okazywał się zupełnie nieporadny w ich oddaniu. W takich momentach zwykł zastrzegać się: **„Ce n'est pas roman que j'ecris ici..."**. A Paul Valéry oświadczał, że nigdy nie potrafiłby napisać powieści, ponieważ przekraczałoby jego możliwości powierzenie papierowi zdania w rodzaju: **„Bon jour, comteisse, comment allez-vous"**. Daje to dużo do myślenia. Tak odczuwali laiccy pisarze. Czyż nie wydaje się słusznym wniosek, że katolicki pisarz może opisywać mnóstwo rzeczy, nie dotykając swego katolicyzmu, ale, że istnieje niezwykle mało rzeczy, których opis nie angażowałby odpowiedzialności moralnej i artystycznej pisarza chrześcijańskiego.

Rzecz jasna — nie należy zamykać oczu na ogromne trudności, z jakimi zmagać się musi niejednokrotnie pisarz katolicki w swej pracy. Wystawiony może nawet na większe ataki Kusiciela aniżeli inny człowiek. Wyraził to dobrze Józef Birkenmajer, gdy we wstępie do „Udziału twórczości katolickiej w dzisiejszej literaturze świata" pisał o nim: „Porwać go może nie tylko własne duma, czy zarozumiałość autorska, ale przede wszystkim sama treść tworzonego dzieła, a więc zainteresowanie się ściślejsze tą, czy ową postacią czy sytuacją, poczucie artystycznej konieczności w ujęciu pewnych szczegółów itp., zapatrzony w to wszystko niekiedy bądź świadomie, bądź nieświadomie zejdzie na drogę niezupełnie zgodną z pojęciem katolickiego pisarza. Czasem znów nie schodzi wprawdzie z tej drogi, ale przez jakąś dysproporcję wykonania, przez jakieś mimowolne niedomówienie, czy niejasność wywołuje w umyśle czytelnika, czy słuchacza wrażenie wręcz przeciwne swym zamierzeniom. Niekiedy zaś obawiając się, by nie poniosło go pióro lub nie skusił go zbyt niebezpieczny temat, pisarz taki umyślnie zuboża zasoby artystyczne swego talentu, degraduje się na stanowisko drugorzędne w literaturze. A więc wśród tych ostateczności nieraz trudno bywa o drogę właściwą, drogę prawdziwej twórczości katolickiej. I trudno niekiedy zakreślić granicę, w których wolno nam zamknąć literaturę katolicką".

Jedno z głównych obiegowych nieporozumień widzi pani Zofia Starowieyska - Morstinowa w utożsamianiu przez ogół czytelników każdego pisarza katolickiego ze świętym. Otóż wydaje się, że istota rzeczy mieści się w twierdzeniu, iż „choć nie każdy pisarz katolicki jest świętym", to jednak twórczość każdego prawdziwego pisarza katolickiego winno znamionować **dążenie do świętości**, równoznaczne z pojęciem doskonałości. To dążenie do doskonałości moralnej widoczne jest też u wielkich twórców chrześcijańskich, mimo, iż byli oni bardzo dalecy od świętości osobistej, życiowej, żeby wymienić tylko Dantego, Mickiewicza, Norwida, Miltona, Tołstoja. Mimo upadków, załamań i wielkich grzechów, będących wyrazem wyjątkowo silnych pokuszeń, na jakie narażone były te potężne osobistości, twórczość ich może być ilustracją słów, które wypowiedział Mickiewicz po okresie odeskim swego życia: „Lećmy i już odtąd nigdy nie zniżajmy lotu". Chrześcijański czytelnik wyczuje od razu dzieło chrześcijańskie po temperaturze, po dynamice moralnej, jaką jest przeniknięte. W czasie lektury takich dzieł czujemy się lepsi, przeniesieni jakby do wyższych rejonów. To wrażenie jest tak silne i tak jednoznaczne, że nie potrzeba wielkiej kazuistyki, by rozsądzić, czy dany autor jest chrześcijański, czy nim nie jest. Narzuca się ono nieodparcie. Podobnych uczuć doznaje jednak czytelnik, również przy lekturze klasycznych dzieł, pisanych przez autorów pogańskich: Platona, Vergilego. Cicerona, Seneki, czy nawet w pewnych partiach Homera. Ale to nie obala naszej tezy. To może świadczyć tylko przeciwko niektórym współczesnym pisarzom katolickim, a jednocześnie jeszcze raz potwierdza starą prawdę, że chrześcijaństwo jest stanem naturalnym każdej wrażliwej i wielkiej duszy.

Ale nie tylko twórczość pisarzy katolickich ujawniać winna dążenie do doskonałości, lecz również ich życie. Ten banalnie sformułowany postulat trzeba specjalnie podkreślać, ponieważ praktyka kręgu naszych pisarzy katolickich ujawnia niekiedy zadziwiające rzeczy. Nie wśród czytelników, bo ci mają na ogół zdrowe wyczucie moralnego, ale właśnie wśród pisarzy spotyka się nieraz silnie akcentowaną skłonność do bezwzględnego rozcinania w zakresie moralności tych dwóch sfer: twórczości i życia. Łączenie ich uważa się w takich wypadkach za przejaw naiwności lub nietaktu. Ludzie ci z jednej strony objawiają dualizm moralny, i swoisty feszyzm wobec tak zwanych natur artystycznych. Postawa taka, częstsza niż się przypuszcza, sankcjonuje bezkarność moralną artysty, w życiu prywatnym lub też domaga się najdalej idących względem niego pobłażliwości. Wedle niej talent usprawiedliwia wszystko.

Oczywiście nie trzeba rozwodzić się jak szkodliwe jest to stanowisko właśnie dzisiaj, gdy pisarz nie przebywa w wieży z kości słoniowej, lecz znajduje się często w bezpośrednim zasięgu wielkiej masy ludzi. Zetknięcie się na co dzień z pisarzem, obnoszącym swój katolicyzm, i opracowującym tematy religijne, bywa czasem dla czytelnika nader przykrym przeżyciem. Czytelnikowi takiemu narzuca się przeświadczenie o niemożebności życia wedle owych górnych ideałów, skoro przecież taki człowiek itd. Wyrasta z tego niewiara i sceptycyzm, jeśli nie wręcz cynizm. Oczywiście, trzeba jeszcze raz to podkreślić, że nie chodzi tu o wielkie upadki i wielkie grzechy, które były znamieniem dramatu duchowego niejednego wielkiego twórcy chrześcijańskiego, choćby Verlaina, ale o rzecz znacznie gorszą — o codzienny stosunek do ludzi, łamiący nie tylko zasady katolicyzmu, ale po prostu humanizmu nacechowany egoizmem, pogardą do ludzi, pychą, brutalnością itd. A to się niestety zdarza. Ale takie wypadki bynajmniej nie dowodzą jakiejś nieuchronnej antynomii między literaturą a praktyką życiową w dziedzinie etyki. Twórczość takiego autora poddana analizie na pewno ukazałaby pierwiastki akatolickie i nieludzkie zawoalowane pięknosłowiem lub patosem, a w każdym razie ujawniłaby fałsz, retorykę i sztuczność. Bo jak się rzekło, twórczość literacka wyrasta nie z talentu jedynie, ale z całego duchowego organizmu człowieka.

Wiąże się z tym kwestia „wydźwięku ideowego dzieła", kwestia zgorszenia. Zasługuje ona na osobną uwagę. Wydaje mi się, że oddam może pewną przysługę, jeśli przytoczę tu wywody Harolda C. Gardinera z jego artykułu o zadaniach literatury katolickiej, umieszczonego w katolickim czasopiśmie „America" w roku 1946.

Tak więc Gardiner wprowadza rozróżnienie między „finis operis" a „finis operantis". Celem autora może być na przykład napisanie dobrego, zajmującego opowiadania lub ukazanie pewnego zła społecznego. Ale obok zamiarów autora mieści się w dziełach nieuniknienie także wewnętrzna celowość, wewnętrzny cel, który istnieje niezależnie od tego, czy autor myśli o tym, czy nie. Tak więc smakosz je swoje łakocie, ponieważ mu one smakują, ale mimo to spełniają one także właściwe im zadanie, mianowicie dostarczają mu substancyj odżywczych. Dlatego nie jeden autor staje się winnym ze względu na treść swych dzieł. Jakaś żywa scena, jakaś wrażliwa sytuacja napisana nawet w najlepszych zamiarach może mieć jednak skutek, którego autor nie przewidział. Literatura posiada przeto cel, który jest niezależny od intencyj autora: spełnia ona funkcję moralną. Wszelako „reguły" literatury nie są normami moralności, a prawa moralności nie są prawami literatury. Dlatego literatura posiada w pewnym sensie swą autonomię, ale **nigdy nie jest ona uniezależniona od moralności**. Nakazy moralne zakazują wulgarności, braku powściągliwości i innych wybryków, które również z punktu widzenia autonomicznych norm moralnych są brakami artystycznymi. Literatura posiada wewnętrzny cel moralny i religijny. Istnienie ich poznaje się po owej pełni duchowej, jaka uszlachetnia nasze życie uczuciowe i wzmacnia naszą duszę. Inspirację tę może książka przekazywać rozmaicie. Dawniej działo się to przeważnie w ten sposób, że dzieła ukazywały jasną postać bohatera. Dzisiaj jednak zwraca się literatura coraz bardziej do ludzi przeciętnych, wskutek czego charaktery, które opisuje, nie odznaczają się wielkością, lecz są niepokaźne i sentymentalne. Największym zadaniem literatury, a przede wszystkim literatury katolickiej — powiada Gardiner — jest rozszerzyć zasięg typów i środowisk ludzkich oraz pobudzać czytelników do prawdziwej, nadprzyrodzonej miłości bliźniego. Literatura posiada naturalną skłonność do moralności religii. (Tezę tę najszerzej rozwinął jezuita francuski Henri Bremond, a już Sheley miał istotne wyczucie prawdy, gdy poezję określił jako „odwiedziny Boga w człowieku", uwaga niżej podpisanego). Uwydatnia się to we wszystkich wielkich dziełach. Skłonność ta polega na pogłębianiu naszej wizji życia, które ukazuje pewien heroizm w najsłabszym człowieku, (i pewną słabość u najbardziej heroicznego). Jeśli tak będziemy widzieć ludzi wówczas będziemy widzieć, jak ich widzi Bóg. Patrzy On na nich i kocha ich, gdyż dostrzega w nich odbicie Swej nieskończonej doskonałości. Gdy literatura jest wierną sobie samej, dopomaga nam w takim samym patrzeniu na ludzi. Zródłem takiego stosunku do człowieka jest miłość.

Tyle Gardiner. Sądzę, że uwagi jego rzucają interesujące światło na zagadnienie zgorszenia. Niezależnie od tego posiadają one dużą wartość. Polega ona na pozytywnym sformułowaniu zadań literatury katolickiej, na uwolnieniu tej literatury z obsesji grzechów, które wpędziło koniec końców pisarstwo katolickie w ślepy zaułek. Jednocześnie ten moment właśnie każe się jak najprzychylniej odnieść do wywodów p. Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, która problematykę literatury katolickiej, podobnie jak Gardiner, opiera na zasadzie miłości, i która wielką drogę literatury katolickiej widzi „w odkryciu dobra, piękna, i szczęścia, światła i człowieka pogodzonego z porządkiem Bożym i poddanego Mu".

Nie ulega wątpliwości, że obranie sobie za punkt wyjścia największego przykazania Chrystusowego i pełna jego realizacja odrodzi na pewno literaturę katolicką.

Aleksander Rogalski

Tadeusz Jankowski

Pierwsze państwo słowiańskie

Studia nad początkiem Państwa Polskiego w związku z jego bliskim już tysiącleciem kierują badania uczonych nie tylko w stronę Poznania i Gniezna, lecz również i do południowego ośrodka kształtowania się politycznego bytu państwa. Ze względu na brak źródeł rodzimych do tych najwcześniejszych czasów historii naszej państwowości, poszukiwania historyków sięgają na tereny obce, aby na podstawie relacyj sąsiadów z plemionami słowiańskimi znad Odry, Warty i Wisły wyłowić mniej czy bardziej istotne szczegóły najdawniejszej historii polskiej. Równocześnie badania te służą dla poszerzania tła ogólnego epoki tworzenia się państwa naszego.

Jeżeli chodzi o stosunki naszych przodków z najbardziej odległego okresu historycznego — to wiemy o kontaktach południowego ośrodka państwo-twórczego z plemionami z terenu dzisiejszej Czechosłowacji. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o państwo wielkomorawskie, powstałe w VIII/IX wieku z inicjatywy Świętopełka. Poszukiwania polskich badaczy poszły jednak znacznie dalej, w znacznie mniej znany okres, bo aż w czasy istnienia na pół legendarnego Samona i jego państwa. Taką daleką wyprawę w przeszłość naszych pobratymców odbył profesor Uniwersytetu Poznańskiego, dr Gerard Labuda. Owocem skrupulatnego studium jest dzieło pt.: „Pierwsze państwo słowiańskie — państwo Samona".

Pracę prof. Labudy charakteryzuje już bibliografia, podana na wstępie dzieła. Obejmuje ona ponad pół tysiąca pozycyj, z czego zdecydowaną większość stanowią opracowania różnojęzyczne, a tylko niewielką — źródła. Jeżeli chodzi o wartość źródeł, to poza kroniką tzw. Fredegara zawierają one mało materiału, dotyczącego dziejów pierwszego państwa słowiańskiego. Ale na tym polega tym większa zasługa prof. Labudy, że przez wnikliwą interpretację tekstu kroniki, rozpatrywanej na tle dużego materiału ogólnego i porównawczego, przyczynił się do sprostowania wielu błędów poprzednich badaczy oraz do ustalenia szeregu okoliczności, na które dotychczas nie zwrócono należycie uwagi. Miarą pracowitości, sumienności, a zarazem twórczej intuicji autora studium o pierwszym państwie słowiańskim może być fakt, że niewielka część fredegarowej kroniki — bardzo skąpej w fakty, związane z samonowym państwem — stała się przedmiotem przeważającej części dzieła o 358 stronach druku. Z tego wynika prosty wniosek, że praca prof. dra Labudy nie jest przeznaczona dla laików, lecz dla osób odpowiednio zaznajomionych z przedmiotem, a co najmniej dla ludzi, przywyczajonych do czytania dzieł naukowych.

Jest rzeczą wielce charakterystyczną, że wiadomości o państwie Samona posiadamy bardzo mało, co więcej — nawet w tradycji czeskiej nie przechowało się wiele wieści o tym państwie, które przecież nie mogło być mniejszym wydarzeniem w dziejach narodowych, aniżeli powstanie państwa wielko-morawskiego. Z tego względu tak wielka wartość kroniki Fredegara. W pierwszej części jest ona komplikacją pi-

(Dokończenie na str. 11)

POPIERAJCIE
Katolicki Uniwersytet Lubelski

Jan Dobraczyński

STRZAŁY ZA HORYZONTEM 7)

— Różo...

— Chciałabym cię nie kochać — powtórzyła jeszcze gniewniej. — Jakież my kobiety jesteśmy głupie! Dajemy całą naszą miłość człowiekowi, którego spotykamy, a on zaraz wyrasta z naszej miłości. Musimy albo z nim rosnąć, albo robimy się śmieszne...

— To właśnie miłość sprawia, Różo, że mężczyzna wyrasta...

— Po co to mówisz? Wolałabym, abyś nie wyrastał!

— Wolałabyś, abym był takim, jakim byłem? Przed Paryżem?

Rzuciła bez wahania:

— Wolałabym! Byłabym ci potrzebna. Lepiej być wspólniczką zła człowieka, z którym się dzieli życie, niż być niczym. Nie odszedłbyś dzisiaj ode mnie. A jeżeli odszedłbyś — to razem ze mną!

— Różo!

— Tak. Ty myślisz, że to tylko ty wybierasz. Ja też wybieram. Ale cokolwiek bym wybrała — zostaję!

Jej biała dłoń zsunęła się z jego dłoni, opadła martwo na ławkę, jak rzucony kwiat. Zawsze kochał jej dłonie. Były miękkie i delikatne.

W ich dotknięciu wypowiadała się najmocniej jej miłość. Znał czar tego dotknięcia. Jeszcze wówczas, dawno, gdy późno w noc siedział przy stoliku, w otoczeniu innych mężczyzn, przychodziła i kładła mu dłoń na ręku — a on zatrzymywał się na skraju i uświadamiał sobie, na jakie drobiazgi rozmienia siebie.

Od czasu do czasu nadlatywał wiatr i trącał gałęziami drzew, one zaś szumiały, niby wstrząsane dreszczem. Zieleń ogrodu rozciągała się we wszystkie strony, tylko spoza sztachet połyskiwała powierzchnia stawu. Przymknął oczy. Zapytał bardzo cicho:

— Dlaczego?

— Nie wiem — odpowiedziała mu również szeptem, jakby mówiła jakąś tajemnicę. — To ty powinieneś wiedzieś... To ty powinieneś umieć mi objaśnić, dlaczego nie wystarcza nam, jak naszym rodzicom, że się kochamy...

Powoli dźwignęła się z ławki. Chwilę starannie strząsała z kolan drobne skrawki roboty. Bob, spostrzegłszy, że powstała, przygalopował hałaśliwie do jej nóg.

— Więc o której idziecie? — zapytała sucho.

— Wieczorem. Koło ósmej.

— Przygotuję wam jedzenie...

— Różo — chwycił ją za rękę, — jakaś ty dobra.

Pośpiesznie wysunęła rękę z jego dłoni.

— Zostaw — szepnęła, — czy chcesz abym się rozpłakała?

Wokół nich był rudawy zmierzch. Cienie drzew w ogrodzie leżały na trawniku, nie tak jak je kładzie księżycowa poświata: twardym, czarnym cieniem, ale niepewnymi smugami. Łuna za rzeką pulsowała, lecz była cicha. Za to mocniej stukał front z drugiej strony.

Drzwi od ganku zamknęły się za nimi. Jasną sylwetkę kobiety widać było dalej za szybą. Podnieśli ręce gestem pożegnania. Nie odpowiedziała im tym samym.

Szli szybko przez ogród, nic do siebie nie mówiąc. Ciężka kabura niemieckiego pistoletu ugniatała Franciszkowi biodro pod nieprzemakalną kurtką. Krzyś starał się dorównać krokowi ojca; czasami podrywał się, podskakiwał, potrząsał głową. Furtka skrzypnęła rozdzierająco w ciszy nocnej. Staw przed nimi leżał martwo, przy brzegach zacieniony, że nie sposób było poznać, gdzie się zaczyna woda, dalej jasny. Łuna odbijała się w nim, jak krzyk o kamienną ścianę.

Ich ścieżka wiodła łąką i małymi zagajnikami. Nie liczyli się tutaj z jakimś niespodziewanym spotkaniem: nie było jeszcze wypadku, aby Niemcy zaawanturowali się w pojedynkę w bok od drogi.

Rzadki brzozowy lasek za Derlaczem był wyznaczony jako alarmowy plac oddziału. Dotrzeć do niego było łatwo przez grzązkie, otaczające go łąki. Kiedy się zbliżyli do kępy drzew, rozległ się ostry, choć cichy głos:

— Stój! Kto idzie?

Franciszek podał hasło, potem zażądał odzewu.

— A to książę — powiedział chłopak ze stenem w ręku, podnosząc się zza krzaka. — O, i Krzyś... Tam już nasi zbierają się w lasku.

Między drzewami Franciszek natknął się na swego zastępcę. Kamiński miał na głowie wielką cyklistówkę, która całym ciężarem leżała na jego uszach. Spod rozpiętego płaszcza wyglądała rękojeść pistoletu i walcowata główka niemieckiego granatu. Suchym, drewnianym głosem, w którym zdawał się brzmieć złośliwy triumf, powiedział:

— Nie wszyscy przyszli, proszę księcia...

— Proszę o raport.

Zrobiono zbiórkę, wyrównano, odliczono. Nieco pompatycznie Kamiński zameldował. Przybyło rzeczywiście tylko czterdziestu trzech ludzi. Ale Franciszek był z tego zadowolony. W oddziale nie było broni dla wszystkich, a tak można było biorących udział w akcji uzbroić doskonale. Zastanowiło go jedynie, co było przyczyną, że członkowie oddziału zeszli się w tak małej liczbie. Czyżby Kamiński? Złe podejrzenia poczęły nurtować Franciszka.

Chrzęściły peemy, szczękała amunicja, w mroku słyszał brzęk głosów, niby gwar wyrojonego ula. Sznur ludzi stał przed nim, podobny sztachetom, spoza których przesącza się różowość wieczoru. Byli dla niego również niedostępni, jak podpierające sklepienie zagajnika kolumny drzew, także nie wiedział co one myślą, jak przeżywają tę decydującą chwilę. Chrząknął, wysunął się do przodu:

— Uwaga — powiedział. — Przestańcie na chwilę zajmować się bronią...

Zrobiła się cisza. Rząd ludzi zamarł w bezruchu.

— Przed dziesięcioma dniami — zaczął, — w Warszawie wybuchło powstanie. Od tego czasu stolica walczy, ponosząc ogromne ofiary. Dziś przyszedł rozkaz, aby wszystkie oddziały ruszyły na odsiecz Warszawie. Pójdziemy więc z pomocą naszym kolegom. Zadaniem naszym będzie przedrzeć się do miasta i zluzować tamtych, którzy, niewątpliwie, upadają ze znużenia. To jest piękne zadanie... Gdy walczymy o jedno, wszyscy powinniśmy w tej walce w równym stopniu brać udział...

Mówił jeszcze chwilę. Nie przerywał mu żaden głos, tylko drzewa szumiały nad głową, jakby górą uderzało raz po raz po gałęziach skrzydło wiatru. Wreszcie skończył. Ale ludzie stojący przed nim nie ruszyli się. Gdyby nie ta łuna wynurzająca się znad czarnej masy drzew, mógł przypuszczać, że wrócił znowu do tamtej nocy zrzutu! Łańcuch milczących i tylko zlekka przytupujących zmarzłymi nogami ludzi, rozciągał się w poprzek polany. Nad nimi było niebo, skrzące się blaskiem wschodzącego księżyca niebo. Panowała cisza, tylko gałęzie kołysały się ciężko, wydając dźwięk podobny do prędkiego sapania. Nasłuchiwali. Potrzebny był im warkot między przyćmionymi wyspami gwiazd.

To wtedy zaczęła się ta dziwna rozmowa, do której wrócili po powrocie. Stali oparci o dwie wysokie sosny, które chwiały się naturalnym ruchem istot żywych. Zaczął Ordon. Powiedział na poły do Franciszka, a na poły do siebie: „Kiedy czekam na pierwszy brzęk nadlatującego samolotu, wydaje mi się jak zawsze, że czekam na człowieka...“ „Pan często myśli o tej samotności?“ „Czy często...? — zamilkł, można było mniemać, że to pytanie uważa jednocześnie za odpowiedź. Lecz po dłuższej chwili podjął: — Właściwie prawie ciągle... Czekam odkąd doszedłem do przekonania, że przeżywamy katastrofę większą niż ta wojna, niż obozy koncentracyjne, doły z niegaszonym wapnem... — Odepchnął się od drzewa postąpił parę kroków przed siebie, potem wrócił. Stanął przed Franciszkiem. Zaczął: — Ocalić się to znaczy...“ Lecz to wtedy właśnie na połyskującym niebie narodził się metaliczny brzęk.

Pojął, że ludzie czekają, myślą, że im coś jeszcze powie. Przesunął dłonią po czole.

— Skończyłem — rzekł. W czerwonym mroku rozległy się znowu szurgania nogami, ciche szepty, chrzęst przekładanej z rąk do rąk amunicji. Cofnął się, podszedł do Kamińskiego. Mała, wpadnięta twarz wachmistrza pod wciśniętą na uszy czapką, wydawaa się czaszką odartą ze skóry. Oczy w zapadłych oczodołach połyskiwały gniewnie. Polecił: — Proszę o wyznaczenie czterech ludzi na szpicę. I dwóch gońców dla mnie. Pan poprowadzi resztę oddziału i da ubezpieczenie tylne. Pogotowie bojowe — oczywiście.

Kolumna zrobiła w „prawo zwrot“ i poczęła wychodzić z zagajnika. Zanim zajął swe miejsce za szperaczami, obrzucił okiem całość. Kroki idących człapały miękko w piasku, broń pozawieszana na szyi, szczękała. Ze zdumieniem zobaczył na końcu kolumny postać kobiecą.

— Kto to taki? — spytał Kamińskiego.

— A to ta Janka od Waliszewskich, książę wie? Przyszła na zbiórkę, żeby iść z nami. Mówi, że może być sanitariuszką. No to dałem jej torbę z opatrunkami i nosze...

Franciszek skrzywił się. Popatrzył na dziewczynę, a ona, jakby odgadując, że o niej mówią, odwróciła się. W rudym mroku zamajaczyły szerokie biodra i grube, jasne łydki.

— Też sanitariuszka! — rzucił oburzony. — Alboż taka potrafi zrobić najmniejszy opatrunek? Trzeba ją było odesłać.

— Jak książę każe — powiedział Kamiński głosem jednocześnie złym i uległym. — Bo ja myślałem, że lepiej jej nie odsyłać. Zaraz by wypaplała o tym, że idziemy. Taka k... — przez nią to i do Niemców może dojść. Przyszło mi do głowy, że lepiej ją zabrać. Ale jak książę każe, to zaraz...

Był ohydny w tej swojej gotowości. Nawet gdy mówił rzeczy najrozsądniejsze, nie łatwo było przyznać mu rację. Franciszek pogardliwie machnął ręką.

— Niech zostanie. Ale pan bierze za nią odpowiedzialność...

Nie czekał na to, co odpowie Kamiński. Biegiem dognał kolumnę. Dziewczyna szła, zamaszyście wymachując drągiem od noszy. Idący obok niej chłopcy chichotali. Z gniewem zacisnął pięści; to ci dopiero wyprawa! Minął sznur idących, rozbrzmiewający szurgotem głosów.

Postępował o parę kroków za szperaczami. Szli prosto pod blask łuny. Franciszek nie tracił z oczu ciemnych sylwetek przed sobą; z tyłu ciężko stąpała kompania. Czasami do uszu Franciszka dochodził cichy gwar rozmowy, jakieś szybko rzucone słowo, gniewne pogadywanie idącego wzdłuż kolumny Kamińskiego. W podniecającej atmosferze przygody wyparowywało zwolna rozdrażnienie z myśli Franciszka.

Mijali uśpione wsie. Przechodzili przez nie przy akompaniamencie zawziętego szczekania psów. Małe okienka, w których odbijał się czerwony połysk, śledziły ich, podobne do rozszerzonych niepokojem oczu. Z jednej z chat wyjrzał człowiek w bieliźnie. Stał, milcząc, i drapał się po skołtunionej głowie. Potem nagle zapytał starczym, trzęsącym się głosem:

— Ludzie, gdzie wy idziecie?

— Na wojnę! — odkrzyknął mu zadzierzyście jakiś głos.

— Na Niemca?

— A na Niemca, dziadku.

Skamieniał w bezruchu, z ręką wczepioną we włosy. Wśród idących żołnierzy przebiegł śmiech. Został za nimi, niby figura przydrożna. Szli dalej. Z ostatniej chaty wyskoczyła do nich baba, mała, sucha, ubrana w biały kaftan, pod którym rysowały się obwisłe piersi.

— Partyzanty? — pisnęła.

— A ty coś myślała, ciotko?

Wracajcie! — zaniosła się nagle lamentem. — Idźcie do domu! Wracajcie! Zabiją was... Jak mojego chłopa zabiły... Oni wszystkich, te antychrysty... Idźcie, idźcie... Wracajcie. O ja nieszczęśliwa... — łkała.

— Nie płacz, ciotko — ktoś pożartował, — łzy piękności szkodzą...

I ona także została za nimi, rozkrzyczana chłopska Kassandra, z mysimi sznurkami warkoczy na kaftanie.

Potem ich droga wiodła skrajem lasu, gęstego, podszytego krzewami. Ścieżka była twarda, rozpięta na żebrach korzeni. Kroki idących wydawały suchy stukot. Zanim przeskoczyli szosę, musieli się zatrzymać: patrole poszły na rozpoznanie. Jasna pręga, po której ślizgał się czerwony blask, leżała przed nimi podobna do nagiej szabli. W miarę jak się zbliżali do rzeki, odkrywał się przed nimi coraz większy krąg horyzontu, zalany czerwienią pożaru. Ściana ognia, unosząca się nad walczącym miastem przykuwała do siebie uwagę idących. Przyśpieszali kroku popędzani podświadomym pragnieniem ujrzenia jej w całej okazałości.

Za szosą było jeszcze z pół kilometra lasu. Potem las urwał się, zakończył piaszczystym wałem, porośniętym krzewami. Nie pomni na komendę biegiem wdarli się na niego. Lecz tu zatrzymali się oszołomieni, wydając okrzyki:

— O rany!

— Ależ pali się!

— Patrzcie...

Niżej była łąka, dalej rzeka, za rzeką czarny pas drugiego brzegu. Ale wszystko to zmalało, zostało przytłoczone ogromem pożaru. Złotoczerwona ściana zastępowała im drogę. Przed ich oślepionymi oczami latały czarne płatki, jak gdyby żużlu. Dech pożaru przebijał się przez wilgotny opar łąk nadrzecznych, dochodził aż do nich, dotykał twarzy niby ciepłymi palcami. Obudził się w nich niepokój. Byli ludźmi nocy, drzew i przestrzeni. Tam gdzie szli, walka toczyła się w zwarciu, w blasku ognia, w czerwonoczarnych ścianach cegieł.

Na łące było jasno. Cienie kilku drzew i krzewów leżały wydłużone i upiorne. Szperacze dochodzili do kępy wierzb nad samym brzegiem rzeki. Franciszek postępował za nimi ze wzrokiem przykutym do pożaru. Myślał: czy to możliwe, aby człowiek, którego tak bardzo chciał zobaczyć, mógł żyć jeszcze?

Ludzie w przodzie coś cicho zawołali. Potem rozległ się obok nich inny głos. Franciszek szybko pośpieszył do szperaczy. Rozmawiali z Majerczykiem.

— Dobry wieczór panu. Jakże przeprawa?

Majerczyk był przez pół chłopem, a przez pół rybakiem. Niski, kanciasty, przysadzisty, mówił mało i twardo. Franciszek cenił go za solidność w wykonywaniu powierzonych zadań. Słyszał teraz jak pochrząkuje, zbierając się do odpowiedzi.

— Dobry wieczór księciu. Ano... dwie łodzie som.... Przeprawiać można....

— Doskonale. Oddział już nadchodzi. Przeprawiamy się natychmiast.

Kompania zbliżyła się. Podszedł Kamiński.

— No i co, Majerczyk?

— Właśnie mówię księciu co som... Dwie łodzie...

Ludzie stanęli, szczękając bronią. Ledwie zatrzymali się, wzmógł się szmer głosów. Nie mogli powstrzymać się od mówienia o pożarze. Jego rozmiary wprawiały ich w podniecenie. Póki widzieli dymy i łunę nad lasem, nie zdawali sobie sprawy z wielkości ognia. Nie myśleli także wiele o nim. To było coś dalekiego i obcego. Teraz stali w jego obliczu. Widzieli jęzory, które wznosiły się skrętami, ponad szczyty najwyższych drzew, by przewalić się kłębami pod samym stropem nieba.

— Ale rozhajcowali... — padały głosy.

— Nie ma już Warszawy. Wszystko spaliły...

— Przeprawiajmy się — powiedział prędko i stanowczo Franciszek. Czuł, że i jemu udziela się groza, którą tchnęło widowisko rozpętanego żywiołu.

— To jednak książę chce tam iść? — zapytał nagle Kamiński, takim tonem, jakby sprawa nie była wciąż jeszcze postanowiona.

Franciszek zmarszczył brwi.

— Przecież po to chyba tutaj przyszliśmy! — rzucił. Majerczyk, bez słowa, wodził swymi głęboko wbitymi oczami od twarzy Franciszka do twarzy Kamińskiego.

— Ależ książę widzi — zrobił gest, — co się tam dzieje...

— Widzę. I dlatego właśnie musimy jak najprędzej iść z pomocą.

— Co im tam przyjdzie z naszej pomocy — przeciwstawiał się dalej Kamiński.

Przerwał mu ostro.

— Panie wachmistrzu, proszę nie rezonować. Nie mamy o czym rozmawiać. Tu nie miejsce do dyskutowania nad rozkazem. Powiedziałem: przeprawimy się i idziemy do Warszawy. — Z gniewem odwrócił się od Kamińskiego. — Panie Majerczyk — przywołał do siebie rybaka, — pan nie widzi trudności w przeprawie?

W blasku pożaru widział ciemną, pomarszczoną twarz starego i jego policzki pokryte siwą szczecią.

— Iii, co ta za trudność może być, proszę księcia — głos Majerczyka był chrapliwy. — Woda mała, prawie można by przejść w bród. Mój Józiek popłynął z godzinkę temu na tamten brzeg, no i tak rozglądał się niby... — Innym tonem, jakby sens pytania Franciszka dotarł do niego dopiero teraz, dorzucił: — Niemców tutaj ni mo. Można iść...

Uczucie wdzięczności dla tego starego chłopa pojawiło się w sercu Franciszka.

— Ilu pan może zabrać na łodzie za jednym razem?

— No... po dwanaście...

— Dwa razy trzeba obrócić?

— Inaczej nie da rady.

Przedłużało to przeprawę prawie o godzinę. Ale na to nie było rady. Obejrzał się. Jego ludzie stali zbici w kupę, wpatrzeni w ogień. Urzekał ich swoim ogromem. Powtarzali raz po raz:

— Wszystko się pali...

— Ale strzela, popatrz...

— Widzisz, Janka? Będziesz teraz dyrdała pod te płomienie...

— Jak Żydów palili to i połowy tego nie było...

— Idziem prosto jak do pieca...

— Jak do tych krematoriów? Co?

Kamiński z obrażoną miną odszedł na bok. Spacerował samotnie nad brzegiem. Gestem wyrażającym złość i lekceważenie uderzał się witką po butach. Franciszek zdecydował:

— Pierwszy pluton wsiadać, drugi wsiadać... Panie wachmistrzu, pan płynie z nami... — Początkowo chciał zostawić Kamińskiego z resztą ludzi. Ale po ostatniej próbie buntu stracił do reszty zaufanie do swego zastępcy. Wydawało mu się, że musi mieć go pod ręką. Dowództwo nad pozostałym trzecim plutonem powierzył Wojtuli.

Dudniąc butami po dnie, ludzie wsiadali do łodzi i zaraz kucali. Na brzegu pozostało z piętnastu chłopców, pomiędzy nimi Krzyś i sanitariuszka - ochotniczka. Łodzie, które poprzednio chwiały się lekko na powierzchni, teraz zanurzyły się głęboko i nabrały równowagi. Woda była czarna jak tusz, tylko tu i ówdzie leżały na niej czerwone pręgi. Przewoźnicy zanurzyli wiosła i wparli je w dno. Zabulgotało. Łodzie ruszyły. Płynący milczeli. Panowała cisza, przerywana tylko pluskaniem wody, sapaniem wiosłujących, poszczękiwaniem stenów. Brzeg od którego się oddalali, pozostawał za nimi jasny, tylko zasnuty różową mgłą, w którą wsiąkały sylwetki pozostałych. Za to brzeg, ku któremu płynęli widny był z daleka czarną pręgą mroku, już z samego swego wyglądu wydawał się brzegiem niewiadomego. Wypłynęli na głębszą wodę. Przewoźnicy musieli zanurzać wiosła po rękojeść. Ale Franciszkowi wydawało się, że woda jest jeszcze głębsza i że w ogóle nie ma dna, jak ten pożar, który zdawał się nie mieć granic swego ogromu. Byli zawieszeni między jednym bezkresem, a drugim, jakby szli ścieżką nad przepaścią albo jakby lecieli na samolocie; przepaść bowiem była nie tylko pod nimi i nad nimi, ale także otwierała się zaraz przed łodziami i za nimi zamykała. To tak — myślał Franciszek, — jakbym istniał jedynie w momencie, w którym dotykam nogą ziemi.

— Żeby teraz do nas z brzegu tak wygarnęli, o rany... — posłyszał szept obok siebie. Czarny brzeg zarysował się niespodziewanie tuż obok, można było niemal pomyśleć, że wypadł na nich z ciemności. Był wysoki. Nurt płynął tędy ostro. Przewoźnicy przeszli na czub łodzi. Kolejno skakali na brzeg i dzwoniąc łańcuchami, przyciągali łodzie. Franciszek wydawał komendy:

— Na czworakach pod wierzch! I tam pozostać... — Skinął ręką Majerczykowi. — Dobrze. A teraz po resztę.

Zadudniły dna łodzi, przewoźnicy wskoczyli do nich z powrotem. Łańcuchy padły na mokre deski. Nurt porwał łodzie i szybko wyniósł je z pasa cienia pod brzegiem. Za chwilę już z rzeki doszedł dźwięk bulgoczącej wody: Majerczyk ciągnął teraz ostro pod prąd.

Franciszek ubezpieczywszy oddział kilku czujkami, pozwolił reszcie odpocząć i wziąść się do jedzenia. Ludzie siedzieli pod osłoną krzewów. U ich stóp rzeka płynęła cicho szumiąc i popluskując, gładka, połyskliwa, wypolerowana, niby paznokieć kobiecy. Na przypłynięcie reszty trzeba było czekać co najmniej trzy kwadranse.

Spod skarpy pożar był mniej widoczny: skrywały go drzewa i krzaki. Za to przestał być niemy. Z dali dochodził przelewający się falami stukot karabinów maszynowych; czasami, ale z rzadka, rozlegało się postękiwanie armat. Warszawa nie umierała w denerwującej ciszy. Walczyła. Ten potworny pożar nie pozbawił jej życia.

(daszy ciąg w następnym numerze)

Zygmunt Kubiak

Prawdziwe dzieje świata

Gdy oglądamy obrazy wyrysowane przez człowieka epoki jaskiniowej na ścianie podziemnej groty, gdy patrzymy na zabytki wydobyte spod gruzów starożytnych miast — doznajemy zawsze pewnego wzruszenia. To wzruszenie pozwala nam lepiej rozumieć słowo „ludzkość“. Ci ludzie, którzy żyli tak dawno, nie mogą nam być obojętni. Historia całej ludzkości jest naszą historią. Nic więc dziwnego, że staramy się ją zgłębić, że chcemy odnaleźć jej sens.

Teologia katolicka mówi nam o pochodzeniu i celu człowieka. Tłumaczy, skąd pochodzi na świecie zło, przeszkadzające człowiekowi w dążeniu do celu. Wyjaśnia również, dzięki jakiej to łasce człowiek może zło i cierpienie pokonać.

Tylko chrześcijańska nauka o grzechu pierworodnym i o walce z jego skutkami, o zwyciężającej wszystko łasce i o Kościele — może nam dać zrozumienie klęsk i zwycięstw człowieka na ziemi. Musimy starać się jak najgłębiej rozumieć wszystkie sprawy świata. Dlatego bardzo pożyteczne jest rozmyślanie nad historią ludzkości z punktu widzenia celu i sensu dziejów człowieka na ziemi.

II.

Mam zamiar powiedzieć tu parę słów o książce G. K. Chestertona, pt. „O Wieczystym Człowieku“.

Chesterton, pisząc swoją pracę jako odpowiedź na „Historię świata“ Wellsa, stara się odkryć istotny sens dziejów ludzkich. Postawa jego jest głęboko racjonalistyczna i wolna od wszelkich uprzedzeń. Stara się on spojrzeć na historię ludzkości oczyma człowieka, który odrzuca wszelkie rozpowszechnione schematy, który przede wszystkim obserwuje i wyciąga wnioski ze swojej obserwacji.

Cała książka dzieli się na dwie części: „O stworzeniu, które zwie się człowiek“ i „O Człowieku, który zwie się Chrystus“. Pierwsza część książki omawia dzieje ludzkości przed narodzeniem Chrystusa, druga część mówi o powstaniu i roli Kościoła.

Na początku Chesterton zajmuje się problemem pochodzenia duszy ludzkiej i pochodzenia religii. Wykazuje nonsensowność teorii o ewolucyjnym powstaniu duszy ludzkiej. Śmiesznym nieporozumieniem jest twierdzenie, że pojęcie ewolucji może nam coś w tym wypadku wyjaśnić. Powolny cud byłby tak samo nieprawdopodobny jak szybki cud. Duch ludzki jest czymś tak różnym od całego świata natury, że jego pojawienia się nie można w żaden sposób wyjaśnić działaniem sił naturalnych. Podobnie trzeba ocenić wszelkie teorie o ewolucyjnym powstaniu religii. Np. twierdzenie, że wierzenia religijne powstały na podłożu marzeń sennych, czy obserwacji zmartwychwstawania ziarna w postaci nowego zboża, czy też kultu władzy szczepowej — nie ma żadnego sensu. Aby ujrzeć w takich zjawiskach coś mistycznego, człowiek musiał już mieć zmysł mistyczny. „Nie można twierdzić, że religia powstała z form religijnych, bo to znaczy, że ona już przedtem istniała“. Tylko człowiek ma w sobie zdolność dostrzegania mistycznych elementów świata. Badanie naukowe nie wyjaśni pochodzenia tej zdolności. Jedynym logicznym wyjaśnieniem jest stwierdzenie, że zmysł religijny razem z całą duszą ludzką musi mieć pochodzenie nadprzyrodzone.

W dalszych rozważaniach Chesterton ukazuje nam, jak kształtowały się dzieje religii w świecie starożytnym. Chodzi tu o pochodzenie idei jedynego Boga. Spod rozmaitych form religii pogańskich prześwitują zarysy pierwotnego Objawienia. Wielobóstwo pogańskie z biegiem czasu coraz bardziej się komplikowało. Wszystko przemawia za tym, że początek był najbardziej prosty, że wszystkie religie pogańskie były wypaczonymi szczątkami pierwotnego objawienia, pierwotnej wiary w jednego Boga. I znowu to wypaczenie i cały tragizm świata starożytnego możemy wyjaśnić tylko jako skutek grzechu pierworodnego.

Na tle degenerujących się coraz bardziej kultów starożytnej Azji wyrasta ogromna rola dziejowa starożytnego Izraela, który przekazał prawdziwe wyobrażenie o Bogu. Ale nawet religia Izraela nie miała mocy zbawić ludzkości, bo była bezsilna wobec tego tragicznego rozdarcia, które towarzyszyło ludzkości od najdawniejszych czasów.

Całe dzieje przedchrześcijańskiej ludzkości świadczą o tym, że ona sama nie mogła zdobyć zbawienia. Chodzi tu nie tylko o sprawy pozadoczesne. Tragizm pogaństwa dotyczy również życia doczesnego, dotyczy całej kultury. Rozdarcie natury ludzkiej spowodowane grzechem pierworodnym wycisnęło swoje piętno na cywilizacjach starożytnych. Stąd te wszystkie odpychające rytuały starożytnego Babilonu i Fenicji, stąd kult kartagińskiego Molocha, dla którego dzieci wrzucano do ognia na ofiarę. W politeizmie pogańskim były bogi i demony.

Cywilizacja grecko-rzymska była najzdrowszym i najlepszym rodzajem pogaństwa. Ale nawet Rzym był w ostatecznym obrachunku bezsilny. Nawet jego względna i powierzchowna równowaga duchowa nie miała przed sobą widoków trwania. Była naznaczona znamieniem śmierci. „Koniec świata“ to tytuł ostatniego rozdziału pierwszej części książki. W momencie, gdy miał się narodzić Chrystus, świat starożytny umierał, choć zdawało się, że był w rozkwicie. Europa doszła wtedy do punktu, do którego już wcześniej doszła Azja. Z tego punktu była tylko jedna droga — w beznadziejność, nieruchomość i znużenie już nie tylko złymi, ale również dobrymi rzeczami, co, jak pisze Chesterton, jest dopiero prawdziwym pesymizmem.

III.

Wśród takiego świata rodzi się „Człowiek, który zwie się Chrystus“. Z Jego narodzeniem historia ludzkości po raz drugi rozpoczyna się w jaskini. W tej jaskini, która była stajenką betlejemską, złożyli Mu pokłon pasterze i królowie-mędrcy. Chesterton widzi w tym głęboki symbol: z pasterzami przyszła mitologia, z mędrcami — filozofia. Cechą pogaństwa była walka między mitologią a filozofią. Mitologia była marzeniem o lepszym świecie, marzeniem złudnym, ale wynikającym z potrzeb ludzkiej natury. Filozofia była szukaniem prawdy, ale prawda filozofów okazała się bezsilna wobec życia, wobec cierpień i pragnień człowieka.

Objawienie Chrystusowe było pojednaniem, gdyż przyniosło zaspokojenie tych potrzeb, które stworzyły mitologię, i tych, które stworzyły filozofię. Chrystus przyniósł na świat prawdę, która była prawdą życia i która przemieniła życie.

„Powstanie chrześcijaństwa jest „najdziwniejszą historią na świecie“. Chesterton zrywa wszystkie wygodne schematy i nawyki myślowe. Każe nam odłożyć wszystkie uprzedzenia i spojrzeć na to, co nazywa „zagadką Ewangelii“. Ewangelia nie jest bynajmniej sentymentalnym poematem. Ileż w niej niezgłębionych, nie dających spokoju tajemnic! Poucza nas ona o życiu Człowieka, którego próżno chcielibyśmy zrozumieć w ludzkich kategoriach. Jedynym wyjściem z dręczących sprzeczności i tajemnic jest stwierdzenie, że Chrystus rzeczywiście jest Bogiem. Wtedy wszystko staje się jasne — ale tylko wtedy. Inaczej chrześcijaństwo jest tajemnicą, której nie wyświetlą żadne badania. „Ewangelia jest zagadką, a Kościół jest odpowiedzią na tę zagadkę“.

Objawienie przyniosło ludzkości wyzwolenie z niewoli ciągle powracającej śmierci. Przyniosło ludzkości nieśmiertelną nadzieję. Odtąd w dziejach Europy „religia była istotnym źródłem wszelkiej nadziei“. A nadzieja ta nie jest próżna.

Prawda, która ocaliła życie ludzkości, piastowana jest przez Kościół katolicki. Świadectwem boskiego pochodzenia Kościoła są, jak pisze Chesterton, te wszystkie herezje, które katolicyzm od samego początku odrzucał pewną ręką, te wszystkie herezje, które zdawały się już pokonywać Kościół i ostateczną swoją bezsilnością dawały świadectwo o jego nieśmiertelności. Prawda Kościoła zawarta jest w niezmiennych dogmatach. Dogmat katolicki jest podstawą wolności i godności człowieka.

Świat, o którym mówi chrześcijaństwo, jest pełen wspaniałej wolności. „Katolik, który ma uczucie, że jego modlitwy ofiarowane za żywych i zmarłych odnoszą skutek, ma jednocześnie uczucie, że jest wolnym obywatelem w czymś podobnym do republiki konstytucyjnej“. Ateizm jest najczęściej rezygnacją z tego wspaniałego daru nadprzyrodzonej wolności. „Ateista sądzi, że dogmat jest zbyt dobry, żeby był prawdziwy“. Ale w świetle niewyczerpanej łaski Bożej możemy pojąć, że wiara jest prawdziwa. Ta wolność jest naprawdę przeznaczona dla ludzi.

Wspaniałym symbolem wiary katolickiej jest ewangeliczny obraz kluczy.

„Przyjmujemy wiarę — pisze Chesterton — i czujemy pewną ziemię pod stopami i droga rozwiera się przed nami... Jest to taka prawda, którą trudno wytłumaczyć, gdyż jest ona po prostu faktem; ale temu faktowi my wszyscy możemy dać świadectwo. Jesteśmy chrześcijanami i katolikami nie dlatego, że uwielbiamy klucz, ale dlatego, że przeszliśmy przez drzwi; i poczuliśmy, jak wicher, który jest trąbą wolności, wieje ponad ziemią żywych“.

Zygmunt Kubiak

Nowości! Nowości!

LEW TOŁSTOJ

„Sonata Kreutzerowska“

i Inne Opowiadania“

stron 244 — zł 600.—

— p o l e c a —

Księgarnia

Zdzisław Gustowski

Poznań, Św. Marcina 34

do nabycia we wszystkich księgarniach

TYDZIEŃ KULTURALNY

Wacław Sadkowski

Zagadnienie estetyki

Ostatni zeszyt Przeglądu Filozoficznego, poświęcony w całości zagadnieniom współczesnej estetyki*), jest nieprzeciętnym wydarzeniem w naszym życiu umysłowym. W r. ub. mieliśmy kilka zaledwie pozycji wydawniczych w tej dziedzinie (np. drugie wydanie książki prof. St. Ossowskiego „U podstaw estetyki"), ale nawet wśród nich „Estetyka współczesna", na którą składa się 12 rozpraw, ciekawy list prof. Władysława Witwickiego o estetyce, wspomnienie pośmiertne o tym wybitnym uczonym i obszerny dział sprawozdawczy, zajmuje poczesne miejsce. Spróbujmy zająć się nim bliżej.

Spory tom otwiera rozprawa dra Mieczysława Choynowskiego pt. „Elementy teorii zjawisk artystycznych", stosujące psychologię są przy badaniu zjawisk artystycznych. O ile teoria ta jest słuszna nie naszą — sądzę — sprawą jest rozstrzygać, możemy natomiast stwierdzić, że jest ona w wielu wypadkach przekonywająca (w nawiasie ciekawostka: już w r. 1884, Stanisław Witkiewicz twierdził, że psychologia zdolna jest rozwikłać i wytłumaczyć przeżycie estetyczne). Nie należy jednak przypisywać autorowi rozprawy jakiegoś „jednostronnie biologicznego ujmowania zagadnienia, od czego autor stanowczo się odgradza.

Po rozprawie Choynowskiego czytamy „List o estetyce" prof. Władysława Witwickiego, pochodzący z 1947 r., a więc napisany na rok przed śmiercią autora. Jest to jakby „antidotum" w stosunku do pozycji poprzedniej, poważnej rozprawy naukowej, andidotum dość ostro atakujące założenia estetyki jako nauki („Jabym miał nakazywać Maorysom, żeby sobie na policzkach nie wydrapywali linij spiralnych, mimo, że im się to podoba? Nie mam ochoty i nie czuję się upoważniony" — chodzi tu o piękno jako o coś, „co się powinno podobać Nowozelandczykom i innym"). Prof. Witwicki ma jednak duże zasługi „na polu" estetyki, a to ze względu na „Psychologię" (zwł. II tom) czy „Wiadomości o stylu", a także ze względu na tłumaczenia (Platona).

Zagadnieniom estetyki marksistowskiej poświęcona jest praca Todora Pawłowa, przewodniczącego Bułgarskiej Akademii Nauk i członka Akad. Nauk ZSRR p. t. „Zagadnienia estetyki naukowej" (tłum. Zofia Wolnik). Rozprawa ta — to wykład marksistowskiego ujmowania sztuki, uznającego ją za „potężny środek nie tylko estetycznej kontemplacji, czy poznawania, lecz również i określonej przemiany świata". Wykład to niezwykle uszeregowany i wypływający logicznie z przyjętych założeń. Tylko właśnie odnośnie tych założeń można by wysunąć pewne zastrzeżenia — ale o tym może innym razem.

Prof. Henry David Aiken pisze jako następny o „Estetyce i filozofii sztuki w Stanach Zjednoczonych" (tłum. Romana Michalska). Jest to artykuł raczej o charakterze informacyjno - sprawozdawczym, opracowany jednak wszechstronnie i głęboko.

Dwie następne rozprawy traktują o pojęciu formy, a mianowicie prof. Roman Ingarden: „Ze studiów nad zagadnieniem formy i treści dzieła sztuki" i prof. Władysław Tatarkiewicz: „Dwa pojęcia formy". Praca Ingardena jest obszerną analizą poglądów innych estetyków (Fr. T. Vischera, J. Volkelta i Benedetta Crocego), oparta o wyprowadzone w czasie badań kryteria i założenia.

Prof. Tatarkiewicz pisze o niezwykle ciekawym zagadnieniu dwu różnych pojęć formy („z jednej strony forma jako u k ł a d — w przeciwstawieniu do m a t e r i a ł u..., z drugiej — forma jako to, co w dziele sztuki jest bezpośrednio odbiorcy d a n e — w przeciwstawieniu do t r e ś c i, którą on odtwarza na podstawie tego, co mu jest dane"). Praca prof. Tatarkiewicza pochodzi jeszcze sprzed książki prof. Konrada Górskiego „Poezja jako wyraz" (Toruń 1946), gdyż powstała w 1935 r. stąd autor nie mógł tam uwzględnić definicji prof. Górskiego, brzmiącej jak następuje: „Formą w sztuce jest wszelka rzecz konkretna, czy oderwana, służąca jako znak do wyrażenia określonej treści" (definicja ta zbliżona jest do drugiej sprzed chwilą cytowanych).

„Zagadnienie dramatu" omawia doskonały znawca tych spraw, prof. Stefania Skwarczyńska. Zasadniczą tezą jej ciekawej rozprawy jest wyodrębnienie dramatu spośród gatunków literackich i podniesienia go do godności samoistnej sztuki: ...dramat nie leży w obrębie sztuki literackiej, ...nie jest rodzajem literackim, ergo... jego miejsce nie jest w systematyce rodzajów literackich... jest odrębną swoistą sztuką..., obok sztuki literackiej, malarstwa, rzeźby i muzyki, architektury etc.". Następnie prof. Skwarczyńska trafnie i przekonywująco argumentuje swą tezę, podkreślając, że słowo nie jest wyłącznym tworzywem utworu dramatycznego. Wywody te jednak osłabia niesprecyzowanie terminu „tworzywo", który bywa pojmowany nieraz inaczej (por. prof. Jan Parandowski: „Alchemia słowa", rozdział „Tworzywo literackie", Tygodnik Powszechny nr 242).

Niezwykle interesująca jest rozprawa prof. Stefana Szumana „Pojęcie dawki estetycznej (O strukturze utworów poetyckich i filmowych)". Twierdzącą, że każde takie dzieło składa się z ogniw, jakby „dawek estetycznych". Pogląd ten jest dokładnie uargumentowany, można by jednak — sądzę — trochę podyskutować o tym, czy rzeczywiście każda linijka wiersza — jak twierdzi prof. Szuman — jest ową dawką estetyczną. Przykłady przytoczone trafnie, ale co zrobić np. z ową przeniesioną w „Panu Tadeuszu" Jendykowiczówną. Obie te linijki stanowią przecież integralnie spojoną całość. W tym świetle reguła ta miałaby pewne wyjątki, rzadsze w poezji nowoczesnej. Drugie zastrzeżenie dotyczyłoby pewnego nieostrożnego sformułowania, a mianowicie tuż pod tytułem ograniczającym zakres analizowanych rodzajów sztuk do poezji i filmu prof. Szuman pisze, że „Budowa dzieł sztuki wszelkiego rodzaju jest, jak sądzę „ogniwowa", tj. złożona z poszczególnych ogniw. Każde z nich zostaje... oddzielnym aktem świadomości apercypowane". Zdanie to było by dość karkołomne w odniesieniu do plastyki, tym bardziej, że w dalszym ciągu rozważań prof. Szuman nie zajmuje się nią zupełnie.

„Odkryciem filmu" zajmuje się prof. Mieczysław Wallis. Film długo nie doceniany przez estetykę, niedawno dopiero uzyskał od niej „prawo obywatelstwa", a przede wszystkim naukowe opracowanie.

(Nie wiem dlaczego w streszczeniu angielskim tego artykułu przy końcu tomu uczyniono Karola Irzykowskiego „dobrze znanym esseistą i krytykiem teatralnym". A gdzie „Pałuba"? A gdzie znacznie bogatszy dorobek krytyki literackiej, krytyki „postulującej", która na literaturę polską wywarła znaczny wpływ? Zacznijmyż wreszcie informować zagranicę, dla której owe angielskie streszczenia są sporządzane wszechstronnie i dokładnie).

Zagadnieniom plastyki poświęcone są prace Jana Gralewskiego („Sztuka prymitywna i jej pozycja w rozwoju sztuki"), Krystyny Zwolińskiej („W jakim sensie można mówić o prawdzie artystycznej") i Jana Popiela („Przedmiot estetyczny w przeżyciu krajobrazu").

Ostatnią pozycją w dziale rozpraw jest praca prof. Stefana Morawskiego o charakterze historycznym p. t. „Teoria estetyczna E. Burke'a".

Poza tym czytamy wspomnienie o prof. W. Witwickim (pióra Izydory Dąmbskiej) i obszerny dział sprawozdań.

Pewną lukę tego tomu Przeglądu Filozoficznego stanowi omięcie muzyki. Mimo to jednak tom ten — to pozycja niezwykle interesująca i wartościowa i w historii Przeglądu, który w swoich czterdziestu czterech rocznikach ogłosił wiele prac z zakresu estetyki, (że przypomnę choćby pracę Abramowskiego „Co to jest sztuka?" 1898, która jest dla mnie niesłusznie zapomnianą rewelacją), zajmuje czołowe miejsce. Jest też trwałym wkładem w dorobek kulturalny Polski.

Wacław Sadkowski

*) Estetyka współczesna. Przegląd Filozoficzny, rocznik XLV, zeszyt 1—2. Redaktor naczelny: Władysław Tatarkiewicz. Wyd. Polskie Tow. Filozoficzne z zasiłku Prez. Rady Ministrów i Ministerstwa Oświaty. Warszawa — Kraków 1949. Str. 300.

Pierwsze państwo słowiańskie

(Dokończenie ze str. 6-tej)

sarzy późno-rzymskich i wczesno - średniowiecznych, w drugiej — kroniką Frankonii z okresu rządów dynastii Merowingów (lata od 584 do 643). Ponieważ napisana została około 660 r. — przypuszczalnie w St. Jean de Losne — przeto bliska była faktów, a przez to — i prawdy. Jeszcze jedną zasługą prof. Labudy jest to, że na podstawie zbieżności stylistycznych i rzeczowych, skrupulatnie ustalił zmiany, jakie zaszły w późniejszych przekazach oraz komplikacjach i doszedł do wniosku, że jedyne źródło „z pierwszej ręki", to kronika tzw. Fredegara. Ale Fredegara nie wystarczyło odkryć — trzeba go umieć czytać i rozwiązywać często zagadki, jakie dla badacza stanowią niejasności w tekście. A w tym zakresie autor „Państwa Samona" (podtytuł pracy) jest naprawdę wirtuozem.

Otóż właśnie: Czy państwo Samona? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zastanowić się najpierw, **kim był Samo.** Ponieważ nie ma tu miejsca na zapoznanie Czytelników z kunsztem metodologicznym autora omawianego tu dzieła — podamy od razu wyniki dociekań. Otóż ojczyzną przywódcy pierwszego państwa Słowian była Galia, obszar między środkową Loire'ą, a całym biegiem rzeki Marny, czyli Szampania. Prof. Labuda, przeciwstawił się więc teorii, że Samo był pochodzenia frankońskiego, jak to mylnie wywnioskował ogół badaczy z niejasnego określenia źródłowego. Samo był zromanizowanym Celtem, pochodzącym z okolic miasta Sens. Twórcą pierwszego państwa słowiańskiego nie był, chociaż odegrał tak ważną rolę w jego dziełach; stąd nadanie państwa jego imienia jest przecenianiem znaczenia Samona.

Jak doszło do powstania pierwszego państwa słowiańskiego? Przed rozpatrzeniem tego zagadnienia wypadnie zastanowić się, gdzie należy szukać centrum tego pierwszego państwa Słowian. Otóż dzięki wspaniałej argumentacji prof. Labudy możemy stwierdzić, że centrum to leżało w Czechach, a właściwie na Morawach. W olbrzymiej akcji migracyjnej, rozpoczętej w połowie III wieku naszej ery, Słowianie rozprzestrzenili się na terenach od Łaby do Wołgi, od morza Bałtyckiego do morza Egejskiego. W V wieku Słowianie przechodzą już bramę morawską i prą coraz silniej na południe. Po odejściu Longobardów ich miejsce zajmują Awarowie. Mała liczebność Awarów stwarza warunki dla osadnictwa słowiańskiego. Poprzez państwo Awarskie Słowianie dochodzą do granic cesarstwa bizantyjskiego. Wojują wspólnie z Awarami, chociaż są od nich zależni, a nawet uciskani. Przeciw temu uciskowi awarskiemu zbuntowali się około roku 622/23 Słowianie morawscy, wsparci zamieszkałymi z obu stron Sudetów Chorwatami, nadłabskimi Serbami i plemionami znad Wisły. W przeciwawarskim powstaniu uczestniczył zupełnie przypadkowo członek karawany kupców frankońskich, handlujących ze Słowianami. Był nim ów zromanizowany Celt, poddany frankoński, Samo. Z początku zapewne Samo pośredniczył między Słowianami, a królem austrazyjskim Dagobertem w sprawie uzyskania dla powstańców pomocy, głównie broni. Frankom powstanie przeciwawarskie było na rękę, ponieważ to właśnie Awarowie przerwali kontakt frankońsko - bizantyjski, co spowodowało niemożność utrzymania stosunków handlowych między tymi dwoma państwami. Po udanym powstaniu Samo dzięki dyplomacji frankońskiej doszedł do najwyższego stanowiska wśród Słowian, został wybrany przez nich królem (około 625 r.). Władca podporządkował się organom naczelnym naszego państwa, przyjął obyczaje i ustrój słowiański i stał się „patriotą" pierwszego państwa Słowian.

Sielankowa prawie, czy bajeczna historia kończy się na tym i zaczynają się konflikty, z których jednak państwo i jego władca wychodzą szczęśliwie. Otóż między Samonem, a królem Dagobertem powstał zatarg z powodu zabicia przez Słowian kupców frankońskich. Po nieudałym poselstwie Sychariusa do Samona (ani perswazja, ani groźby nie pomogły), król frankoński zorganizował wyprawę przeciw Słowianom morawskim.

Dwa boczne uderzenia przyniosły stronie frankońskiej pewną sukcesy. Sam król, Dagobert obległ Samona, broniącego się w umocnionym wałami obozie pod Wogastisburgiem (dzisiejsze Uhoszczany koło Kudani). Samo wytrwał tu podczas 3-dniowego oblężenia, a następnie wypadł z obozu i zadał klęskę wojskom Dagoberta. Odtąd rozpoczęła się długoletnia wojna, podczas której Słowianie wpadali nieraz na ziemie frankońskie. Od Dagoberta odpadł Derwan, książe plemienia Serbów, a później do ośrodka morawskiego przyłączyły się jeszcze dwa plemienia: Chorwaci i Dulebowie. Najintensywniejsze były walki na pograniczu Turyngii. Wytworzenie się drobnych germańskich państw plemiennych umożliwiło w następnym okresie infiltrację Słowian w stronę Gór Kruszczowych i do podnóży Harcu.

O Samonie mamy jeszcze tylko jedną wiadomość, to mianowicie, że zmarł po 35-letnich rządach. A cóż się stało z państwem, którego był władcą? Miało skończyć swój byt wraz z śmiercią Samona. Takie były hipotezy licznych uczonych. Obecnie wypowiedział się przeciw nim prof. Labuda. Przeprowadza mianowicie dowody na możliwość utrzymania się państwa morawskiego — może nie w tak zwartej organizacji — aż do przełomu VIII i IX wieku, kiedy to pojawia się „niespodziewanie" silne państwo wielkomorawskie. Prof. Labuda wywodzi państwo wielko-morawskie od pierwszego państwa morawskiego, a dynastię Mojmirowiczów bezpośrednio od Samona.

Tak pokrótce przedstawiają się losy pierwszego państwa słowiańskiego w dziele prof. Labudy. Dla informacji wypada dodać jeszcze, że ukazało się ono ilustrowane, z mapkami mgr Chłopockiej, w wydaniu Księgarni Akademickiej w Poznaniu.

Tadeusz Jankowski

W kraju

ZGON ST. MICHALSKIEGO

Zmarł w Krakowie, w wieku 84 lat Stanisław Michalski, jeden z najbardziej zasłużonych organizatorów kultury polskiej. B. dyrektor departamentu nauki, b. dyr. Funduszu Kultury Narodowej, kierownik działu naukowego Kasy Im. Mianowskiego, redaktor wielu wydawnictw.

Z MUZYKI

Obie polskie laureatki Konkursu Chopinowskiego Halina Czerny - Stefańska i Barbara Hesse-Bukowska dały szereg koncertów zagranicą. Stefańska w Anglii, Bukowska w Holandii. Oba turnee były wielkim sukcesem muzyczek.

28 lipca 1950 roku przypadà 200 rocznica śmierci Jana Sebastiana Bacha. W Polsce ukonstytuował się komitet „Roku Bachowskiego", która to impreza organizowana jest w całym świecie.

Znana śpiewaczka Wanda Warmińska wróciła po 10 - letniej nieobecności do kraju.

MAMUT

W pobliżu zamku w Niedzicy w Pieninach, znaleziono w czasie robót ziemnych, na głębokości 3 m, pierwszy w naszym kraju kompletny szkielet mamuta. Kierownictwo prac przy szkielecie objął delegat warszawskiego Muzeum Ziemi, gdzie szkielet zostanie umieszczony po całkowitym wydobyciu.

NOWE WYDAWNICTWA

Ossolineum wydało we Wrocławiu w pięknej szacie graficznej, na bezdrzewnym papierze, w półsztywnej okładce, wszystkie pisma Juliusza Słowackiego, o niezwykle taniej cenie: 2.400 zł za całość 12 tomów w abonamencie. Całość redakcji spoczywała w rękach prof. Juliusza Krzyżanowskiego.

„Książka i Wiedza" rozpisała przedpłatę na nowe, specjalnie ozdobne wydanie „Pana Tadeusza". Ukazać się ma ono w marcu br. w opracowaniu graficznym i z rysunkami Tadeusza Gronowskiego. Książka formatu 24 na 33 cm grubości ponad czterystu stron zawierać będzie 300 rysunków barwnych w tekście i 12 plansz, 10 barwnych. Rozesłany prospekt pozwala się zorientować w faktycznej okazałości książki.

Całość w płóciennej okładce i wielobarwnej obwolucie — 990 zł w przedpłacie.

Niedawno ukazał się w Kijowie ukraiński przekład „Pana Tadeusza" pióra świetnego poety Maksyma Rylskiego.

P. I. S.

Powołany został do pracy Państwowy Instytut Sztuki, podległy resortowo Min. Kultury i Sztuki. Instytut będzie ośrodkiem badawczym dla wszelkich działów sztuki, zarówno w zakresie teorii jak potrzeb dnia bieżącego. Będzie organizował wystawy, popierał stosowny ruch wydawniczy, finansował i organizował ruch naukowy, koordynował pracę rozmaitych instytucji, opiekował się szkolnictwem artystycznym, utrzymywał związki z stosownymi instytutami zagranicą. Jako pierwsze komisje Instytutu powstały; komisje dla zagadnień szkolnictwa artystycznego w działach: filmu, teatru, muzyki i plastyki, metodologii, badań zagadnień teorii sztuki, zagadnień planowania w zakresie kultury, dla spraw statystyki i sprawozdawczości z ruchu kulturalnego. Instytut posiada jak dotąd cztery sekcje: teatru, sztuk plastycznych, muzyki, sztuki ludowej. Dyrektorem został dr Juliusz Staszyński, historyk sztuki.

Czytelnik uważa, że...

DO RED. „DZIŚ I JUTRO“.

Umieszczony w noworocznym nunumerze „Dziś i Jutro“ fragment z III części „Bolesława Chrobrego“ Gołubiewa, daje nam przedsmak następnej uczty literackiej jaka nas czeka, gdy wreszcie będziemy mogli wziąć do ręki dalszy ciąg jednej z najlepszych polskich historycznych powieści.

Jako prosty i szary czytelnik, nie śmiem wyrażać żadnej krytyki. Być może, że po okresie okupacji jestem przewrażliwiony. Jednakże pozwalam sobie stwierdzić, że opis bitwy z Niemcami pozostawił mi uczucie — lekko mówiąc — niesmaku. Scenę tę czytelnik nie tylko czyta, ale widzi i słyszy. Z pewnością dowodzi to wybitnego talentu autora, że tak realistycznie przedstawił okropności wojny. Ale doprawdy nie chcę i nie będę wierzył, aby Słowianie mogli tak sadystycznie, tak po gestapowsku się cieszyć, tak „buchać śmiechem“ na widok wijącego się w przedśmiertnych bólach wroga, czy toporami dobijać rannych! Cały ten urywek, podany ku chwale polskiego oręża, sugeruje, że to tak właśnie być powinno.

A we mnie przeciw temu coś się buntuje. Dlatego pytam, czy słusznym jest, aby będąc obdarzonym niezaprzeczenie wielkim talentem, wykorzystywać go m.in. dla pochwalania ludzkiej zwierzęcości?

A. B.

JESZCZE O WIDZACH TEATRALNYCH

Bardzo nietrafne wydają mi się uwagi Wacława Sadkowskiego o jednym z ostatnich felietonów Zuka pt. „Kulisy widowni“. Sprawiają one wrażenie, że autor notatki ostatnimi czasy nie bywa w teatrach, skoro twierdzi, że narzekanie Zuka na wandalizm widzów teatralnych jest niesłuszne. Nie wchodzę w to, czy i co się na widowni zmieniło, fakt pozostaje faktem, że ów wróg, który według Sadkowskiego nie istnieje, a mianowicie ignorancja i snobizm (S. określa go jako „mieszczański“), panoszy się w naszych przybytkach kultury nadal, i to w stopniu nie mniejszym, niż to czytamy w doskonałym felietonie Zuka, który bynajmniej nie trafia w próżnię. Szkoda, że Sadkowski nie odwiedził Romy w czasie trwania „Konkursu Chopinowskiego“... Może to zresztą z drugiej strony i lepiej dla jego ufnej wiary w widzów teatralnych, bo by się tam mocno rozczarował. Na pewno potem nie proponowałby tabliczek z napisami „zalecającymi“ (!) porządek, no i, co najważniejsze, nie napisałby swoich „Zagadek“. Jeśli zaś już napisał, godziło by mu się także pamiętać coś niecoś o wymogach felietonu (za co niedawno zgromił Pana Szarzyńskiego) i nie proponować Zukowi, by nowych teatromanów „pouczał“, jak się należy zachowywać w teatrze. Sądzę, że lepiej to zrobi Kamyczek w „Demokratycznym savoir vivre“. Zuka zostawmy lepiej na stanowisku felietonisty, nie róbmy z niego nauczyciela.

J. O. P.

O PURYTANIŹMIE I INNYCH RZECZACH SŁÓW KILKA

Dawno już nie pisałem, bo nie bardzo mi się chciało. Człowiek się czasem męczy. Ale parę listów znów mi dodało ochoty.

Nie bardzo zrozumiałem p. Sadkowskiego, który napisał coś młodzieńczego sceptycznego o purytaniźmie i powołał się na literaturę angielską. Czyż nie widzi, jaki wspaniały wpływ wywarł purytanizm na literaturę angielską? Oscar Wilde napisał w czasie odbywania kary, najpiękniejszą swoją rzecz, jedyną w wyrazie nawet w literaturze światowej, „Balladę Więzienną“. Widać na niej właśnie znaczenie purytanizmu, który oczyszcza umysł i serce. A czy, bez purytanizmu, mielibyśmy Kiplinga, Carlyla, Waltera Scotta, Ruskina, Chestertona i tylu innych wielkich pisarzy? Bernard Shaw jest też purytaninem. Cała literatura angielska zawdzięcza swą wielkość właśnie purytanizmowi, a traci ją wraz z jego upadkiem. To najoczywistszy przykład. Nie wolno być zbyt lekkomyślnym przy wydawaniu poważnych sądów, bo to jest sprzeczność w założeniu.

P. Odrowąż-Pieniążek wyraził bardzo wiele szacunku dla powagi prof. Konrada Górskiego, a bardzo niewiele dla mojej. Zbija mnie cytatami z jego książki. Czy udało mu się to zamierzenie? Nie widzę tego. Po pierwsze „wielkie jest“ w jego liście „materii pomieszanie“. Nie wiadomo nawet, które z moich twierdzeń stara się zbić. Bo chyba nie to, które przytoczył. Co z nim ma wspólnego przytoczenie przez Jasienicę o jedności formy i treści, przypomnienie zresztą wcale nie a propos, bo ja mówiłem o wyrazie, nie o treści? Układ listu błąka mnie. Dam mu więc spokój. Ale poza tym, brak mu ścisłości zasadniczej. Brak określeń używanych wyrazów. Rozbiorę dla przykładu parę twierdzeń.

Punktem wyjścia, zasadą jest dla p. P. zdanie prof. K. Górskiego: „Piękno jest stosunkiem całkowitej zgodności wyrazu z wyrażoną treścią“. Jaka to zgodność? Oczywiście, czysto subiektywna, bo dalej mówi p. P., że „dzieło sztuki o tematyce religijnej jest piękne wtedy, gdy artysta dał w nim adekwatny wyraz **swych** przeżyć“. Artysta, według p. P. musi, jeśli chce stworzyć „piękne dzieło sztuki“, dać w nim wyraz całkowicie zgodny ze swym przeżyciem.

Nie lekceważę autorytetów, ale też uznaję je tylko na podstawie słuszności wypowiedzi. Sama definicja prof. Górskiego, przytoczona przez p. P., budzi we mnie głębiny wątpliwości. Przede wszystkim wydaje mi się ona wewnętrznie tautologiczna. Czy może być wyraz niezgodny z treścią? Wyraz może być mniej lub więcej doskonały, ostry lub tępy, szlachetny lub ordynarny, godny lub niegodny, ale zawsze jest zgodny z treścią. Wyraz jest siłą, z jaką dzieło przemawia. Czy może być mowa o sprzeczności siły z mówiącym? Wątpię.

Ale nawet przyjąwszy tę definicję, wydaje mi się, że jest ona całkowicie nieużyteczna praktycznie do celów, do jakich chce jej użyć mój przeciwnik. Bo i któż jest zdolny do osądzenia zgodności wyrazu z treścią. Chyba tylko jeden artysta, bo ta zgodność musi być subiektywna przecież. Tylko on wie, czy **swoje** przeżycia wyraził zgodnie z prawdą. Nikt inny nie może **tu** być nawet świadkiem, nie tylko sędzią. W jaki więc sposób p. Odrowąż-Pieniążek ustali swoją „obiektywną hierarchię estetyczną“?

Tu jest szkopuł poważny. To jest powód, dla którego wszelkie sądy obiektywne o dziełach sztuki są niemożliwe. Zbliżoną do obiektywnej ocenę estetyczną może dać tylko ogólna opinia publiczna, powszechne głosowanie. Ale ono nigdy nie jest jednomyślne.

W którymś tam numerze „Dziś i Jutra“ p. Gajdaj napisał list z uwagami o sztuce kościelnej. Na tematy podobne sporo już mi wydrukowano, a jeszcze więcej nie wydrukowano, nie będę więc o nich pisał w niniejszym liście. Ale p. Gajdaj na końcu swego listu potrącił o pewien pobożny zwyczaj, wyrażając się o nim z politowaniem, co mnie mocno ubodło. Potępił on mianowicie całowanie przez kobiety z ludu posadzki kościoła przed rozpoczęciem modłów. Twierdzi, że jest to niehigienicznie i niemile.

Otóż i ja wielokrotnie patrzałem na praktykę tego zwyczaju. Robiła tak zawsze moja matka, a ja nie uważałem tego za coś niewłaściwego, ale za akt wysokiej cnoty, do jakiego sam nie jestem zdolny. Jest to akt pokory wobec Boga, z którym ma się obcować w sposób intymny i serdeczny.

Z punktu widzenia mikrobiologii jest to rzeczywiście niehigieniczne, bo na ziemi, czy posadzce, są bakterie. Nie słyszałem jednak, żeby się kto od tego nabawił jakiej choroby. Ale, gdyby nawet to zastrzeżenie nie było słuszne, to wzgląd mikrobiologiczny nigdy w podobnych wypadkach nie gra żadnej roli. P. Gajdaj, który zna się na higienie, wie zapewne o tym, że każdy pokarm, który zjadamy, jest pełen bakterii, choćby był gotowany. Unoszą się one w powietrzu. Co zabije gotowanie, to zostanie zastąpione z powietrza. Chemicznej czystości nie zachowuje żadna kuchnia. Nikt też nie myje np. owoców, czy jarzyn, zjadanych na surowo, destylowaną wodą. Z pokarmem pochłaniamy masę bakterii. Czy jednak z tego powodu ktokolwiek powstrzymuje się od jedzenia?

A całowanie pań w ręce jest higieniczne? Ileż na nich bakterii? A całowanie upudrowanych, to jest ukurzonych (puder, po francusku poudre, oznacza kurz) twarzy, umalowanych ust, czyż nie jest po stokroć bardziej niehigieniczne i odrażające, jeśli się na to spojrzy obiektywnie? Tak, wzgląd na higienię jest zaiste bardzo mało brany pod uwagę w dwudziestym wieku, wieku mikrobiologii. Można go więc pominąć i przy pobożnym zwyczaju.

Zwyczaj ten jest zresztą bardzo piękny i miły. Ziemia jest naszą najczulszą matką, która nas żywi, nosi na sobie, jest podstawą naszych nóg, kołysze nas w swoich objęciach. Całowanie jej na znak miłości i szacunku wobec jej Stwórcy może razić tylko dziwaków.

Z. Jakimiak

Szanowna Redakcjo!

Po przeczytaniu artykułów poświęconych czwartej rocznicy istnienia „Dziś i Jutro“ zdecydowałem się napisać do Was.

Pierwsze numery Waszego pisma wywarły na mnie bardzo silne wrażenie. Miałem wtedy 21 lat — zdawałem przyśpieszoną maturę. Nawał nieuporządkowanych problemów wojennych i powojennych domagał się wyjaśnień, omówień, sprecyzowań. Czytałem „Dziś i Jutro“ znajdując w nim wiele tak niezbędnego materiału myślowego. Częstokroć nie zgadzałem się z Waszym stanowiskiem, ale zawsze imponowało mi sprecyzowanie myśli, którym sam nie mogłem dać rady.

Jestem obecnie na czwartym roku Politechniki i choć nie byłem przez ten okres czasu stałym czytelnikiem „Dziś i Jutro“, to jednak wiele mu zawdzięczam, bo zmuszało mnie do myślenia, prowokowało do myślowej dyskusji, a przede wszystkim uczyło patrzeć oczami rzetelnego katolika i Polaka na głęboko sięgające przemiany.

Tych kilka słów zdecydowałem się napisać, by dać dowód, że pismo Wasze ma konkretne, życiowe znaczenie dla mnie, jako jednego z wielu czytelników „Dziś i Jutro“.

Łącząc wyrazy szacunku

Andrzej Tumski

Z prasy francuskiej

Zadania społeczne i duchowe katolików

„Uważamy, że katolik powinien zamieszkać tam, gdzie przebywał Chrystus, tj. w samym sercu ludzkości“ — oto jedna z wypowiedzi na łamach „La vie intellectuelle“ w dyskusji dotyczącej stosunku katolika do zagadnień bieżącego życia, a zwłaszcza do zagadnień społecznych. Autor artykułu zajmuje w tej dyskusji pozycję pośrednią pomiędzy minimalizmem a optymistycznym maksymalizmem, całą troską o ustrój obarczając katolików świeckich — „ludzi myślących po Bożemu, ale żyjących w świecie i mocno z nim związanych“.

„Musimy pracować, aby poznać ogrom lęku i nadziei zamknięty w człowieku — czytamy — i dążyć wraz z Chrystusem, aby usunąć nieprawość, a pobudzić miłość. Poznanie i działanie chrześcijanina winno być skierowane ku „współdziałaniu z Bogiem“, który od prapoczątku kieruje rozwojem i prowadzi ludzkość do jej kresu. Kres ten przekracza wszelki porządek społeczny, ten, który istnieje i ten, który może przyjść; będzie on uświęceniem człowieka, przejściem dzięki łasce ku „porządkowi świętości“. Jakże ciężko jest katolikom naszego pokolenia wniknąć w sens tych żywych prawd. Ale dla nas poznanie ich, zdobywane stopniowo i z trudem jest najściślej powiązane z naszym powołaniem społecznym. Zanim będziemy obmyślać, jak zbawiać dusze, musimy dać ludziom pełną świadomość własnych dusz, trzeba im stworzyć odpowiednie warunki życia. Jeżeli chrześcijanin zaniedbuje działanie społeczne jest hipokrytą, albo ulega złudzeniom. Ale działanie społeczne nie może obyć się bez wybranego świeckiego ustroju. Kościół natomiast nie może się w te sprawy angażować i właśnie dlatego pozostawił to zadanie katolikom świeckim. Samodzielność katolików świeckich w świeckich sprawach jest ich najwyższym posłuszeństwem.

Jednak akcja społeczna to za mało do pełnego wyzwolenia człowieka, musi on poznać jeszcze swoją rzeczywistą godność: jest członkiem Mistycznego Ciała Chrystusowego. Ażeby postęp społeczny godny był człowieka trzeba, by wyzwolony miał takie warunki życia, które pozwolą mu słyszeć w głębi duszy wołanie transcedencji, by umiał odpowiedzieć na to wołanie i otworzyć serce prawdziwej wolności duchowej. We wspólnym wysiłku poruszenia świata fermentem ewangelicznym „głębiej rewolucyjnym niż wszystkie nasze postulaty społeczne“, hierarchia kościelna pełni rolę główną, ale nie jedyną. Również katolicy świeccy, w oparciu o autorytet Kościoła, pracują nad pomnażaniem Mistycznego Ciała Chrystusa. Podwójne zadania katolika społeczne i duchowe idą ramię w ramię. Podporządkowanie i wolność to podwójna forma jedynego posłuszeństwa, dla ludzi, którzy są jednocześnie synami Bożymi i obywatelami ziemskiego społeczeństwa.

Dziś jednak staranniej jeszcze musimy strzec się niektórych dwuznaczności, które w naszych czasach mogą zmniejszyć plon tego podwójnego wysiłku. Tak więc nie możemy używać bez poprawki określenia „doktryna społeczna Kościoła“. W rzeczywistości nie ma doktryny społecznej Kościoła, jak nie ma filozofii Kościoła. Kiedy katolicy francuscy zatykali sobie uszy, aby nie słyszeć wielkiego głosu Leona XIII, nasi poprzednicy usiłowali im wytłumaczyć, że istnieje moralność nie tylko indywidualna i rodzinna, ale i zawodowa, społeczna, narodowa i międzynarodowa. Oni to przyczynili się wówczas do rozpowszechnienia tego, co nazywali „doktryną społeczną Kościoła“; dziś można by lepiej powiedzieć: „postulaty chrześcijańskie, które muszą być przyjęte przez każdą instytucję społeczną. Tak jak nie ma filozofii katolickiej, istnieją tylko katolickie postulaty filozofii“ (nieśmiertelność duszy, walor rozumu), tak samo pewna liczba postulatów wyznacza działalność społeczną i jednocześnie katolicką (sprawiedliwość, godność osobista). Lepiej nie tolerować dwuznaczności w słownictwie zwłaszcza w czasach sprzyjających pomieszaniu pojęć, gdy jedni żądają od Kościoła za mało, a drudzy za dużo, gdy jedni pragną zamurować go we wnętrzu sanktuariów, a inni chcieliby otrzymać programy, których Kościół nie może tworzyć. Kompetencje Kościoła należą do porządku duchowego, ale duchowe postulaty Kościoła pociągają za sobą ważne konsekwencje w porządku świeckim. Postulaty duchowe kierują całą działalnością społeczną, ale nie narzucają jej żadnej pozytywnej formy. Nie ma i nie będzie Dekalogu dla instytucji współczesnych“.

Ścisłą łączność życia społecznego i spraw Bożych powinna ukazywać, zdaniem autora, także nauka religii. Winna ona podkreślać, że „Bóg transcedentny jest tam gdzie jego stworzenie. Byt nie jest na zewnątrz innych bytów“. Chodzi o zbliżenie Boga ludziom. Autor jest zdania, że źle zrozumiana transcedencja Boga jest przyczyną powstawania fałszywych problemów dotyczących stosunku działania duchowego i świeckiego, zwraca uwagę, że chociaż dla teologów sprawy te nie nastręczają żadnych trudności, jednak laikom są zupełnie nieznane.

Autor podkreśla również, że nie zgadza się z bezkompromisowym stanowiskiem „z daleka od polityki“, gdyż mogą zaistnieć okoliczności, kiedy samo niewypowiedzenie się, będzie oznaczało pewną określoną postawę polityczną, natomiast jest przeciwny zajmowaniu przez sam Kościół pozycji politycznych“. Ponieważ współdziałanie wysiłku społecznego i duchowego w wyzwalaniu człowieka — pisze — jest dla katolika nadal sprawą bardzo trudną, głównym naszym zadaniem będzie przezwyciężać te trudności. Chcemy brać udział w dziele czysto kościelnym, gromadzenia chrześcijan dla pomnożenia Mistycznego Ciała Chrystusa i rozpowszechnienia jego nakazu miłości... Ale jednocześnie naszym zadaniem jest kształtowanie ludzi na ścieżkach życia świeckiego“.

Obarczając katolików świeckich ogromną pracą i odpowiedzialnością stawiamy sobie za najbliższy cel wychowanie pełnowartościowego katolika „świadomego życia Kościoła, dzielącego jego troski, takiego, który bierze rzeczywisty udział w pomnażaniu Mistycznego Ciała Chrystusowego, z drugiej zaś strony, katolika świadomego realiów świeckich, pragnącego działać tak, aby świat ten uczynić możliwym do zamieszkania, bardziej ludzkim. Widzimy, że taki katolik jest posłowsku oddany wskazaniom i decyzjom hierarchii kościelnej we wszystkich sprawach dotyczących wiary... widzimy też, że wybiera swobodnie pomiędzy taką czy inna działalnością zawodową, socjalną, ekonomiczną czy polityczną“.

Opracowała **K. H.**

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr. I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
Druk. Skolimowska 5.
B-96840